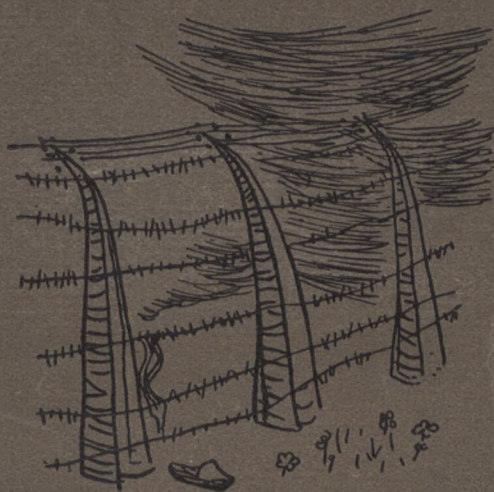


MARIA ZARĘBINSKA-BRONIEWSKA

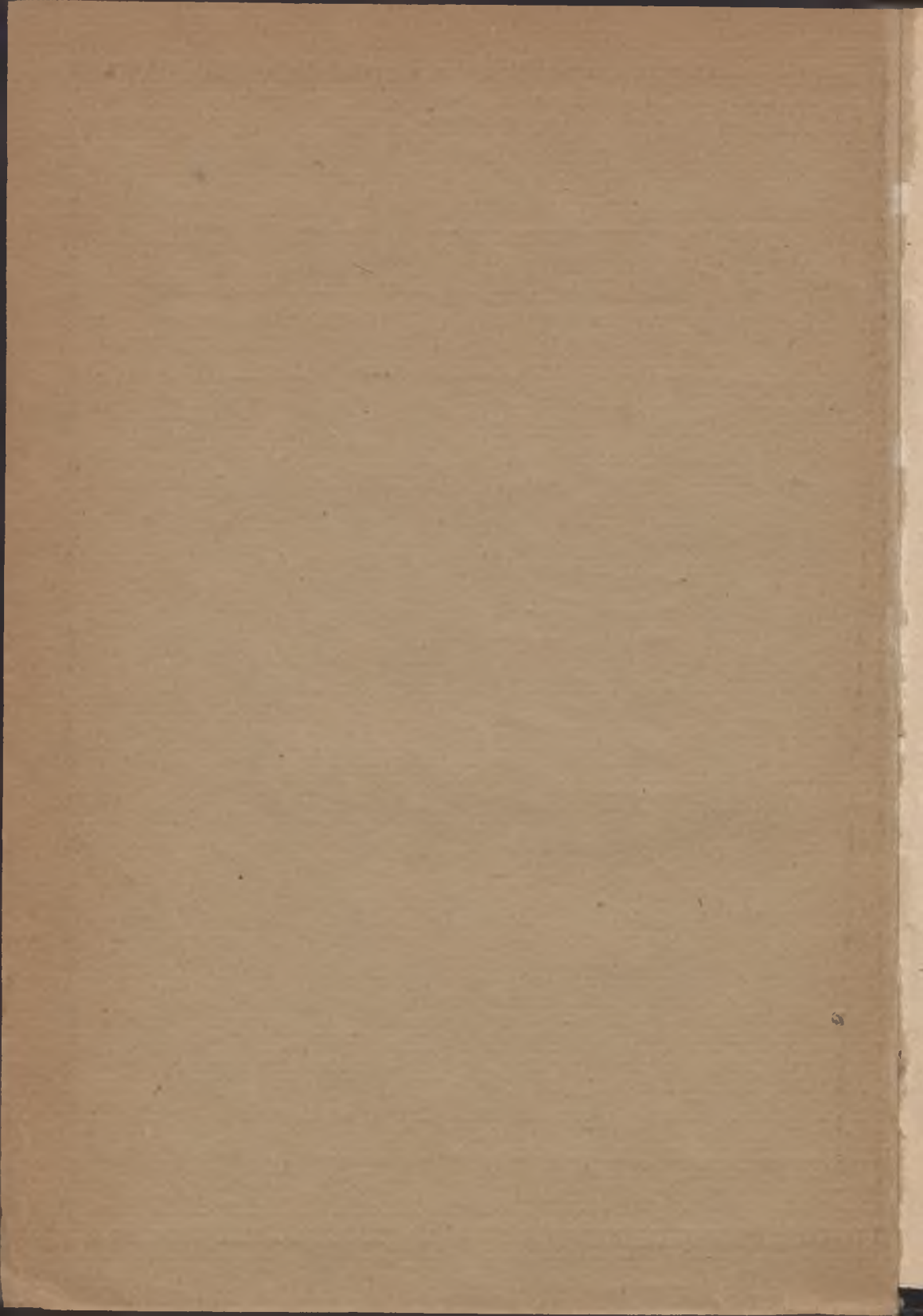
OPOWIADANIA  
OŚWIĘCIMSKIE



RYCHLIKI ZB.



K \* S \* I \* A \* Ż \* K \* A



MARIA ZARĘBIŃSKA-BRONIEWSKA

\*

OPOWIADANIA OŚWIĘCIMSKE

1111

MARIA ZARĘBIŃSKA-BRONIEWSKA

OPOWIADANIA  
OŚWIĘCIMSKE



· KSIĄŻKA ·

*Spółdzielnia Wydawnicza*

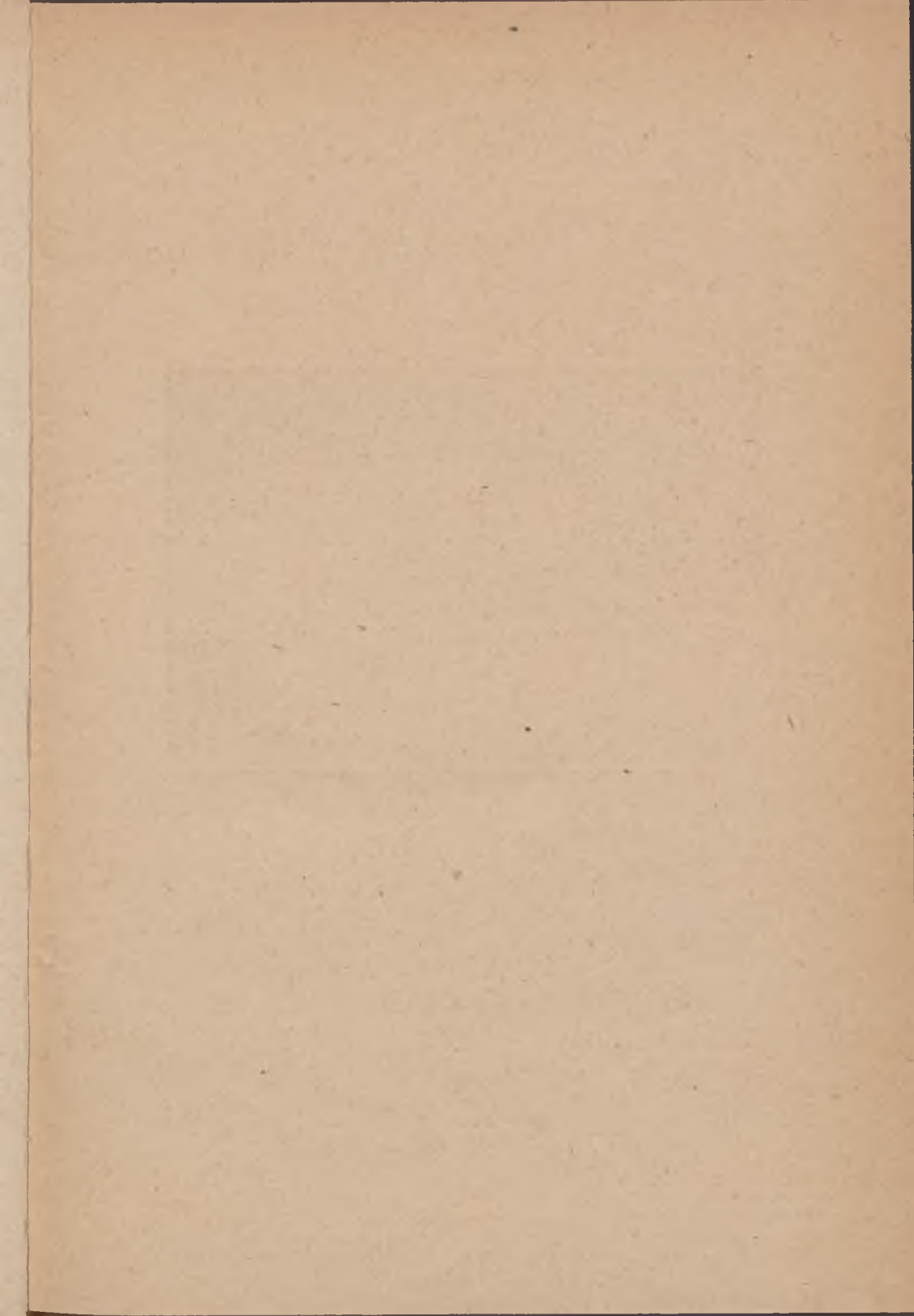
WARSZAWA 1948

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”  
Warszawa  
Printed in Poland  
Wrzesień 1948 rok  
Okładkę projektował  
Zbigniew Rychlicki

*2.1919/48*



D-027757  
Tłoczono 5.370 egzemplarzy  
Zakłady Graficzne „Książka” w Łodzi  
Obj. 4½ ark. Papier dzieł. mat. V kl. 80 g Format 61.86 cm.







## WSPOMNIENIE PRZYJACIELA

Marię Zarębińską, późniejszą Władysławową Broniewską, poznałem jesienią roku tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego w Wilnie, w Teatrze Reduta. Nie byłem jeszcze wówczas pedagogiem, nie rozporządzałem wzrokiem rozróżniającym dzięki doświadczeniu typy osobników pragnących poświęcić się sztuce dramatycznej. Natomiast doskonale pamiętam niezwykłość uroku cechującego Marysię, jak ją zwaliśmy do końca życia wszyscy, koledzy i przyjaciele. Zaprzyjaźniła się szybko z moją żoną i ze mną. Było w niej coś niezmiernie szlachetnego, prawego, owianego wewnętrzną nieśmiałością, delikatnością w obcowaniu z ludźmi, subtelnym stosunkiem do otoczenia. W miarę lat, gdy wrastała w życie i w życie teatru, nabierała śmiałości w sądach, lecz do końca zachowała subtelność uśmiechu, wyrozumienia i ciepłej dla ludzi życzliwości. Ten uśmiech delikatny, świadczący o nieuchwytnym skupieniu osobowości, był Jej urokiem scenicznym. Uśmiech ten spontanicznie rysujący się na drobnych rysach twarzy, niewielka, szlachetna sylwetka w połączeniu z ciepłym stłumionym głosem i szlachetną, nie narzucającą się dykcją — wszystko to razem tworzyło niezmiernie naturalne cechy aktorskie Marysi. Całość sprawiała wrażenie spokoju, łagodności, dobroci.

Dobroć właśnie była dominującym rysem Marysi i dlatego tak cierpieliśmy, gdy przedwcześnie od nas odchodziła, a wielki ból i smutek odczuiliśmy, gdy odeszła. Nie miała dobroci na pokaz.

Dobroć żyła w Niej głęboko, organicznie, a lata umocniły i wyszlachetniły Ją jeszcze. Dobroć przejawiała się w powitaniu, w słowach spokojnych, w koleżeńskim zwrocie, w trosce o sprawy ważne i o kłopoty przyjaciół, w prawości postawy wobec wielkich zdarzeń świata i w reakcji na zło, które było na ulicy, w chęci widywania ludzi, jeśli ceniła w nich te same walory, którymi Ją natura obdarowała. Dobroć była w jej uśmiechu. Wszystkie swe „charakterystyczne cechy“ przejawiała Marysia na scenie i były one Jej naturalnym charakterem aktorskim. Bo tylko ludzie nie rozumiejący, czym jest sztuka, mogą przypuszczać, że jest ona od organizmu artysty odłączona. Gdy znało się dobrze Marysię Zarębińską i patrzyło się na Nią z widowni teatru, wówczas doznawało się potwierdzenia tej prawdy, której my aktorzy poszukujemy, prawdy, która idzie zawsze przed nami — trudna i nigdy przez to niezbadana. Gdy dziś wspominam Marysię, która w wyglądzie swym miała zawsze tyle cech dziewczęcych, widzę delikatny, mglisty, pastelowy portret. Pamiętam Ją zwłaszcza dobrze jako córkę Dziedzica — Jaracza w „Rodzinie“ Słonimskiego. Była młodą panną, która rozsądnie ratuje upadający dom. Kiedy spokojnie, wyrozumiale, z uśmiechem pobłażliwości wobec ojca, fantasty i dystrakta, przeprowadzała swą rolę zorganizowania we dworze pensjonatu, w tym uporze dobroci, w spokoju mówienia była właśnie Marysia, której może nie znaliśmy, lecz której mogliśmy oczekiwać.

Po pracy u Jaracza przeszła do twardej roboty w Teatrach Miasta Warszawy, pierwszych peryferyjnych scenach stolicy, obarczonych trudnościami pionierskiej roboty szarpiącej niezbyt silny organizm. Potem wojna, wyjazd do Lwowa, praca w tamtejszym teatrze, powrót do Warszawy po jego likwidacji przez Niemców, ciężkie życie okupacyjne w rozłące z Władkiem i wreszcie — Oświęcim.

Wielu naszych znajomych tam wędrowało. Marysia należała do tych, o których lękaliśmy się najbardziej. Obawialiśmy się, że Jej konstytucja fizyczna, brak sprytu i zaradności w sytuacjach przeciwnych Jej moralności nie pozwolą ocalić życia w tym najstraszniejszym inferno.

Spędziła w nim oraz w innych obozach pełne dwa lata.

Wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, w Łodzi, gdym przybył w godzinie obiadowej do gmachu Miejskiego Studio Teatralnego, woźny zaanonsował mi, że w stołówce jest gość, który pragnie mnie widzieć. Uśmiech woźnego mówił, że to ktoś sympatyczny. Wszedłem do obszernej sali stołówki i spostrzegłem Marysię • „jak gdyby nigdy nic“ zajadającą kotlet i otoczoną przez koleżanki i kolegów.

Wyznaję, że gdym spotykał znajomych przybywających z paroletniego pobytu w ciężkim obozie, nie miałem przewyciężyć natychmiastowej potrzeby wnikliwego spojrzenia na twarz powracającego lub powracającej. Była to ludzka troska, złączona z aktorskim zaciekawieniem. W wypadku Marysi, po pierwszej serdeczności przywitania wygląd jej interesował mnie szczególnie. I trudno było doprawdy mnie i innym powstrzymać wykrzyk radosnego zdziwienia: „Jak ty dobrze wyglądasz!“ Jakże niedługo dane nam było cieszyć się tym zdziwieniem.

Co było znamieniem ważnym i budzącym głęboki szacunek, to niezwykła prostota stosunku Marysi do przebytych tortur, do Oświęcimia. Żadnej skłonności do opowiadań, do narzucania swych wspomnień. Nie dlatego, że trudno było o tym mówić lub że się nie chciało, lecz przez subtelne odczuwanie, iż wyszła z olbrzymiego tłumu, z którego tyle Jej towarzyszek nie powróciło. Zarazem Jej miłość życia i ludzi pozwoliły na zatrzymanie

nienaruszonego uśmiechu dobroci i życzliwości, tego, który znaleźliśmy.

Dzienniki zwróciły się do Niej o wspomnienia. Nie odmówiła i oto okazało się, że prawda i prostota Jej opowieści potrafią znaleźć kształt żywy i przejmujący. Stała też szybko do pracy teatralnej podejmując rolę Maliczewskiej; w niektórych interpretacjach mogliśmy odczytać ślady przeżytych cierpień. Wreszcie powrócił z obczyzny mąż i powróciło pełne życie, złożone z radością lektury porywających wierszy, które Broniewski przywiózł jako dorobek paroletni.

Zimą roku następnego wystawialiśmy w Teatrze Wojska Polskiego „Zemstę“. Marysi przypadła rola Klary i, mimo iż grała ją parę lat przedtem we Lwowie, pracowała z zapałem i zaciętością przyjmując odmienne od swych dotychczasowych koncepcje i środki wyrazu. Współ z Jerzym Leszczyńskim reżyserowałem sztukę, więc byłem odpowiedzialny za termin premiery i normalny bieg widowisk. Jakżeż robiło mi się smutno i ciężko, gdy m spostrzegłem, że zdrowie Marysi nie dopisuje i że ten pragnący żyć i pracować człowiek zapada na paradniowe niedomagania. Wkrótce pojawiło się niebezpieczeństwo przedłużania się tych niedyspozycji i twarda konieczność teatralna zmusiła nas do wprowadzenia dublury w porozumieniu z Marysią rozumiejącą sytuację, którą traktowała jako stan wymagający krótkiego leczenia.

Pracowała nadal z zapałem. Schodziliśmy się po południu w moim mieszkaniu i wraz z innymi grającymi drążyliśmy tekst fredrowski, wypracowując jego treść, wierszowanie, dykcję i kontakty między postaciami. Te nasze spotkania były ostatnią fazą pracy Marysi Zarębińskiej. Jakżeż radowała się nowymi odkryciami, jak chętnie przerabiała swoje dawne formy! Grała na premierze, która miała charakter uroczysty ze względu na jubileusz Grabowskiego i udział Węgrzyna i Lesz-

czyńskiego. Grała potem jeszcze niewiele razy, prawie zawsze z lekką gorączką, wreszcie wolała pozostać w łóżku. I nigdy już nie widziała teatru.

Tragiczne skutki wydarzeń oświęcimskich, przycazone przez jakiś czas w organizmie, cierpliwie, lecz nieubłagane poczęły zwyciężać siły byłej więźniarki. Trzeba było wyjechać do Szwajcarii, by tam w warunkach najnowocześniejszych osiągnąć medycyny i jej mistrzów dokonać próby zachowania życia, które gasło i odchodziło.

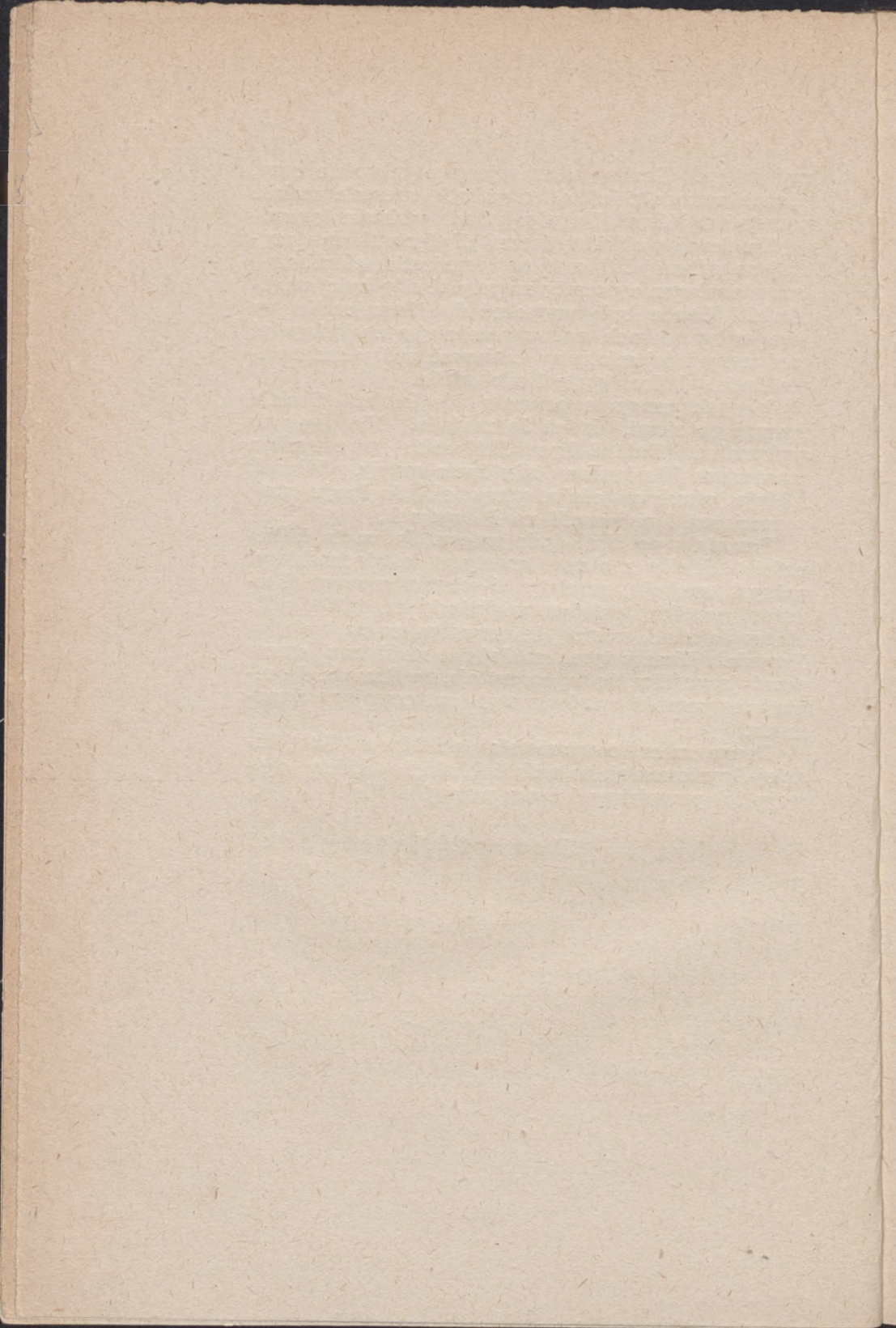
Marysia pragnęła powrotu do kraju. Chciała umrzeć na ziemi, która Ją zrodziła. Nie było to wykonalne. Dnia 5 lipca 1947 roku w zuryckim sanatorium Hirslanden siły życia ustały. Władek i Maja, ukochana córka, przywieźli do kraju urnę z prochami i pochowali na Powązkach.

Pozostały po Niej dwie rzeczy. Jedna to kilkanaście szkiców z okresu martyru oświęcimskiego, pełnych spokoju, prostoty i niezamierzonego literacko smutku opisów więźniarki nr 44739. Ci, którzy Ją znali, wiedzą, że wszystko, co napisała, to Prawda. Wraz z tymi, co Jej nie znali, raz jeszcze przeżyją podziw, że to, co czytają, to Prawda. I ocenią plastyczność opisów, styl wstrząsający zwarścią.

Druga rzecz, co pozostała po Marysi Zarębińskiej-Broniewskiej, to miłość bliskich, którzy chowają żal prawdziwy i żywą pamięć o Niej.

H e n r y k S z l e t y ń s k i

W maju 1948 roku



Deszcz jest rzeczą bezsprzecznie bardzo potrzebną. Deszcz bywa nawet rzeczą bardzo przyjemną, gdy w gumowym płaszczu, z rękami w kieszeniach wędruje się przed siebie, żeby ugasić jakiś pożar serca.

Ale deszcz w Oświęcimiu to katastrofa. Po kilku godzinach beznadziejnego dreptania po rozmięklej glinie drewniaki zamieniają się w dwa ciężkie kamienie, uwiązane do nóg. Suknia i bielizna zdają się być jakąś wstrętną skórą olbrzymiego, ośliźlego gada, której w żaden sposób nie można się pozbyć. Z chustki na głowie spływa po twarzy wąska struga wody i nieznośnie łechce.

Tak się złożyło, że w drugiej połowie lipca od kilku dni i nocy padał bez ustanku deszcz. Co dzień rano przed świtem, ustawiając się do apelu, uporczywie spoglądałyśmy w niebo, próżno szukając jakiegoś znaku, jakiegoś choćby wążutkiego niebieskiego pasemka, które by zwiastowało pogodę. Niestety żadnej nadziei. Szare, ciężkie chmury ciągle wisiały nad nami. Po prostu groza zaczęła nas ogarniać.

I właśnie w taki jeden dzień powiedziała któraś, że ten deszcz nigdy nie ustanie, że to się zgadza właśnie z pewną przepowiednią, którą ona przed samym aresztowaniem czytała: — „Będzie strasz-

na wojna, powstaną miasta niewolników, niewolnicy będą żywcem paleni na stosie, będą nosić na plecach malowane krzyże, pod których ciężarem będą się uginać, a potem przyjdzie deszcz, który będzie padać przez wiele dni i nocy i wreszcie przyjdzie koniec świata. Drugi potop biblijny“.

Trwoga padła na niejedną, zaczęły się modlić i bać strasznie „potopu“. Tymczasem przyszła wiadomość pocieszająca. Podobno lekarz naczelny zakazał pracy. Jutro nie idą już kolumny w pole, zostają w blokach. Ogarnął nas szal radości. Nareszcie może ubranie się wysuszy, może się trochę człowiek wyśpi?

Na naszym podwórku przed blokiem utworzyło się coś w rodzaju basenu. Woda sięgała już do kolan. A że podwórko było cementowane i woda nie miała odpływu, przepowiadałyśmy, że woda rano będzie sięgać do pasa. Apel wieczorny odbył się na bloku. „Sama blokowa“ powiedziała, że jutro już nikt nie pójdzie do roboty.

Zasnęliśmy w tym błogim przeświadczeniu, że jutro się nie pracuje, że się odpocznie. Ale zaraz po apelu porannym spotkało nas pierwsze rozczarowanie. Nie wolno było usiąść na łóżku, żeby nie zepsuć kantów, trzeba było albo stać, albo siedzieć obok na stołkach (stołków było tylko kilka). Ledwieśmy się przyzwyczyały do tej smutnej perspektywy, gdy przy bramie rozległy się krzyki i na blok wpadła „Aufseherin“ w wysokich gumowych butach, w gumowej pelerynie, wrzeszcząc, że musimy w tej chwili wyjść do pracy.

A no trudno. Pomyślałam, że musimy przekopywać gdzieś jakieś rowy, żeby woda odpływała, ale



okazało się, że nie. Przed bramą stał na motocyklu sam „Arbeitsdienstführer“ groźny Tauber i nasz „Blockführer“ — komisja nie lada! „Arbeitsdienstführer“ robił właśnie awanturę podwładnym, że nas nie wypędzili o 6 rano do roboty.

— SK nie ma wolnego. SK musi pracować zawsze! Teraz muszą nadrobić stracony czas.

Ziemia była tak rozmiękła i deszcz padał bez ustanku tak wielki, że przy budowie drogi, czy przy budowie kanalizacji (nasze zwykłe prace) nie można było pracować w żaden sposób. Wobec tego kazali nam przenosić cegły. Musiałyśmy z jednego końca na drugi, z jednej sterty na drugą przenosić po kilka ciężkich, mokrych cegieł. Ta wędrówka była naprawdę tak okropnie beznadziejna, tak fizycznie dotkliwa, że wcale się nie dziwiłam, słysząc naokoło siebie szepty:

— Tak, to już koniec świata będzie.

— Ja ci mówię, że o tym potopie to prawda.

— Oj, prawda, Pan Bóg nie może patrzeć dłużej na taką krzywdę i mękę ludzką.

Najbiedniejsze w tej tragicznej wędrówce były stare kobiety. Pomyślałam patrząc na nie, że niczym są postacie z greckich tragedii wobec tych tragicznych postaci z nowoczesnej tragedii XX wieku.

Po kilku godzinach, kiedy już nawet eskorta dostatecznie się zmęczyła, kazali nam wrócić na blok. Przed bramą znów jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wyrósł na motocyklu „Arbeitsdienstführer“. Gruby, podobny do świni, najedzony, ubrany ciepło i sucho. Ogromnie go ucieszył nasz żałosny wygląd, aż zszedł z motoru, stanął przed

bramą i zanosząc się od śmiechu, walił po plecach każdą wchodzącą do bramy.

Wpuścił już wszystkie, wszedł na podwórze i zobaczywszy nasze jezioro na środku podwórka, krzyknął:

— Schwimmen! Teraz tu pływać! No, prędzej! Prędzej! Pływać!

Rozpacz nasza wyraziła się tylko w spojrzeniach. Ponieważ ryczał ciągle ze śmiechu, więc zwlekaliśmy z wykonaniem rozkazu, a ta i owa ryzykowała nawet sztuczny śmieszek. Woda była okropnie brudna, na podwórku był klozet przewidywany i wszystkie nieczystości spływały do niej. Perspektywa kąpieli w tej gnojówce wcale nie była przyjemna.

— Also schnell, schwimmen!

Ale w tej chwili przez bramę wpuszczają „nową“. Mizerna bardzo, z kępkami włosów na głowie (od razu widać, że po tyfusie), w okularach. Jakaś żałosna, tragikomiczna postać. Stoi pokornie przy bramie. SS-man spostrzega ją, niespodziewanym ruchem przewraca na ziemię, wciąga do kałuży i brodząc w wysokich gumowych butach, zaczyna ją za nogi ciągnąć w wodzie.

Głowa raz po raz zanurza się pod wodę, okulary spadły, krztusi się i męczy. Niemiec nie zważa na nic i zanoszą się od śmiechu, dalej pławiąc swoją ofiarę. Sytuację ratuje Kasia-góralka. Podnosi wysoko suknię, wbiega do wody i zaczyna nagle wrzeszczeć:

— Schwimmen! schwimmen! schwimmen! — i zanoszą się jakimś sztucznym, nerwowym śmiechem.

SS-man przestał na chwilę ryczeć i odwrócił się w jej stronę.

Ofiara skorzystała z sytuacji, jakimś wężowym ruchem wyrwała się z rąk oprawcy i uciekła ociekając wodą i błotem pod ścianę bloku.

Patrząc na nią, pomyślałam:

— A może? A może to prawda, że jednak będzie potop?

Lipiec 1943 r.

**B**lokowa od rana jak furia miotła się po bloku. Wrzeszczy więcej niż zwykle, bije mocniej niż zwykle. Przy wydawaniu ziótek oblała którejś ze złości rękę. Staramy się „nie stawać jej na drodze“, sprawdzamy, czy koce na siennikach mają dobre kanty i w milczeniu czekamy, kiedy nareszcie każe nam wyjść przed blok i ustawić się do apelu. Krótco przed odebraniem apelu oznajmia: — „Jutro odwszenie“. Czarne zło jej oczy rzucają groźne błyski. Stoimy cichutko, nie komentujemy wcale tego ważnego faktu. O, nasza blokowa ma ciężką i wytrenowaną rączkę. Przed wojną była 28 razy karana za bójki i awantury uliczne. Siedzi już od 1937 roku. Niemka.

Dopiero na robocie zaczynamy szeptać i rozważać, jak to będzie jutro. Jesteśmy w lagrze niedawno. To nasze pierwsze odwszenie.

— Wiecie, jedna Niemka powiedziała mi, że będziemy całą noc siedziały w „Saunie“ — powiada Ewa przechodząc z tragami.

— Wiesz, podobno znów nam włosy mają zgolić. Szkoda, już nam takie ładne odrosły — martwi się któraś.

Powoli ogarnia cały blok podniecenie — „coś się dzieje“.

Wieczorem po apelu zrobiło się gwarno na bloku. Masa wiadomości. Biegamy od koi do koi. Podobno wszystko odbierają. Swetry zabiorą raz na zawsze, bo w swetrach się najwięcej trzymają wszy.

— Podobno dostaniemy nowe suknie, granatowe, płócienne, nowe fartuszki i czystą nową bieliznę — opowiada Józia — optymistka.

— Jak to świetnie, że nareszcie wzięli się za nasze wszy — powiada drapiąc się stara Żukowska.

— E, gdzie tam dadzą nowe suknie... — Żółtobłada Zofia widzi znów wszystko zawsze w czarnych kolorach. — Nic nam nie dadzą. My przecież jesteśmy SK (Strafkolonne). My przecież jesteśmy przeznaczone na wyniszczenie w pierwszej kolejce. Gdzie tam nam dadzą nowe rzeczy!

Józka jest oburzona.

— Wcale nie jesteśmy przeznaczone na wyniszczenie. Właśnie wczoraj spotkałam koło trupiarni moją znajomą z wolności, tę grubą blondynkę, co pracuje w „politische“ i pytałam się, czy już wie, co znaczą te nasze czerwone kółka na plecach. Powiedziała, że dokładnie jeszcze nie wiedzą, ale to wcale nie jest tragiczne. Przypuszczalnie jesteśmy zakładniczkami. Nasze sprawy są bardzo ciężkie i dlatego jesteśmy specjalnie strzeżone. Tak, tak, jesteśmy c e n n e. Po ukończeniu wojny będą nas wymieniać pierwsze. Dlatego mamy być podobno otoczone specjalną opieką, będziemy mieć wszystko lepsze. No i to się zgadza, jutro my pierwsze mamy odwszenie.

Przed zgaszeniem światła blokowa zapowiedziała, że budzi nas jutro o godzinie drugiej w no-



cy. Musimy przed wyjściem do roboty zrobić porządek w bloku.

Jutro pracujemy tylko do dwunastej w południe.

Około piątej nad ranem zaczął padać deszcz na nasze sienniki i koce równiutko ułożone pod ścianą bloku. Ale oczywiście nie można było wnieść ich do bloku, bo podłoga była wyszorowana, a poza tym rozkaz „Blockführera“ był taki. Chmury ciężkie i niskie wisiały nad nami.

— O, Boże, będzie padać cały dzień — westchnęła któraś.

— Tak. Wiatru nie ma, nie przepędzi. Będzie lało. Ale dziś pracuje się tylko do dwunastej, a potem pod dachem w łaźni nawet może sobie trochę pośpimy — pociesza Józka.

Krótko przed dwunastą zerwał się wiatr, zrobiło się jeszcze bardziej zimno. Mokre suknie nieznośnie oblepiały ciało.

To koniec. Tak zimno, deszcz, mam takie słabe zdrowie, to mnie wykończy. — Nieprawda, jestem bardzo zdrowa — powiadam sobie i zaciskam usta.

— Schnell — aufstehen. Mittag holen — ryczy przy kotle blokowa.

Prędko połykamy gorzką zieloną zupę. Za chwilę przyjdzie „Blockführer“ i idziemy na odwszenie. Na całym lagrze rozlegają się gwizdki. Tak zwana „blokszpera“. Wszystkie więźniarki są zamknięte w blokach. Praca przerwana.

Zgrzyt klucza przy bramie. Wchodzi „Blockführer“. Jak zawsze jednakowo cynicznie uśmiechnięty, jak zawsze mówi cicho rozkazy blokowej i ma wyraz twarzy Mefista z Fausta wystawionego przez

kółko amatorskie w małym miasteczku. Wiatr przygnał nowe chmury. Zaczyna gorzej padać. Och, jak zimno! Znów ten sam nerwowy lęk przed czymś nowym, co ma za chwilę nastąpić.

Ale na razie nic straszego. Po prostu ustawiamy się jak zwykle w piątki i przenosimy koce. Kierunek — ta właśnie boczna ulica, gdzie ustawiali baseny.

Koło dość dużego składanego basenu stoi może piętnastu SS-manów w gumowych rękawiczkach, wszyscy mają maski gazowe przewieszane przez ramię. Elegancki doktor Rode w nowiutkich białych jelonkowych rękawiczkach stoi z daleka i wydaje rozkazy.

— Wszystkie koce włożyć do basenu. Następnie rozebrać się do naga i włożyć ubranie do basenu.

Deszcz leje coraz większy. Jest druga połowa sierpnia, ale pech chce, że dzień jest tak zimny jak w październiku.

Prędko rozbieramy się jedna po drugiej, wrzucamy ubranie do basenu, oczywiście natychmiast ustawiamy się piątkami i czekamy na dalsze rozkazy. W oknach sąsiednich bloków z rozplaszczonymi na szybach nosami przyglądają się nam koleżanki. Ostatnia piątka wrzuciła ubranie do wody. W lewo zwrot i marsz. Kierunek — łaźnia. Odległość około kilometra.

SS-mani otaczają nas. Teraz dopiero spostrzegam, że jest wśród nich jedna „Aufseherin“. Śliczna, młodziutka blondynka w lakierowanych wysokich butach z nieodstępna szpicrutą w ręce. Ma małą obciągniętą skórkową rękawiczką rączkę, ale jak

smagnie szpicrutą przez plecy lub twarz, to pamięta się długo. Jakiś młody SS-mann idzie koło niej, pokazuje nasze obnażone ciała i szepce coś do niej. Oboje śmieją się cynicznie.

Maszerujemy równiutko, nagie, sine — demonstrując wszystkie deformacje naszych ciał.

Obok mnie idzie siedemdziesięciodwuletnia „mama S“. Potknęła się o kamień i aż syknęła z bólu.

— Moja pani, ja czterech synów i trzy córki na ludzi wychowałam. A ciężko nam było. Robotnicyśmy prości z mężem byli. Jeden syn sędzia, drugi nauczyciel, trzeci urzędnik, córki też wszystkie wykształciłam. Przecierpiało się w życiu niemało i żyję, to mnie tam i ten cały lagier nie weźmie. Tylko się trza trzymać, moje dzieci... — Opowiadała nam tak zawsze, kopiąc lub nosząc cegły.

Biedna, biedna staruszeko — myślę patrząc bokiem na jej zniszczone ciało — biedna matko, czy chowając swe dzieci, walcząc o lepsze jutro dla nich przypuszczałaś, że kiedyś w siedemdziesiątym drugim roku życia będziesz nago maszerować przed żołdakami niemieckimi?

Myślę, że jej musi być jeszcze zimniej niż mnie, jeszcze przykrzej niż mnie. Idzie ze spuszczoną głową i bez ustanku szepce coś do siebie.

Może się modli, a może przeklina Niemców?

W tej samej piątce sztywno wyprostowana maszeruje jej najmłodsza córka. Ma ręce zaciśnięte — nasze oczy spotykają się i rozumieją.

Z drugiej strony obok mnie idzie Kasia-góralka i ciągle półgłosem mruczy:



— O Jezu, o Jezu, taka obraza boska, taka obraza w biały dzień, tak nas te skurwysyny prowadzą.

— Cicho, Kasiu, bo cię jeszcze uderzy — powiadam.

— A niech mnie zabiją! Niech raz koniec ze mną będzie. Za te trzy punkty, com sprzedała, taka kara, taka obraza boska. Jo gazdzianka, wicie.

— Och!

Szpicruta pięknej blondynki smagneła Kasię, aż mnie się końcem dostało.

— Halt die Schnautze, singen!

Niemki maszerujące na przodzie zaczynają posłusznie zwykłą piosenkę: „Kamerad wo bist du? Kamerad wie heisst du?“.

Gdzie jesteś przyjacielu? Gdzie jesteście moi drodzy, bliscy ludzie, czy was jeszcze kiedyś zobaczę?

W samej łaźni nie było nic specjalnego. Niebieską zimną wodą zlali nam głowy. Bez ręczników i mydła stanęliśmy pod zimnym tuszem. Jest mi potwornie zimno, zaczynam się znów roztkliwiać nad sobą. — Mamusiu, czy mogłaś przypuszczać, gdy mnie maleńką otulałaś ciepłą kołderką, że mi będzie kiedyś tak strasznie zimno i źle i że... — Nie, nie wolno się roztkliwiać nad sobą. Nie miałam nigdy mamusi, nie miałam nigdy ciepłego białego łóżeczka, nie byłam nigdy człowiekiem, nigdy. Zawsze tylko numerem 44739. A w ogóle nie jest wcale zimno.

Uśmiecham się do sąsiadki.

Cała świta stoi w drzwiach i patrzy na naszą kąpiel. Od czasu do czasu „kapo“ z łaźni, gruba

Muskele, rzuca się pomiędzy nas i bijąc pasem popycha pod przysnic tę, która stara się ominąć zimny prąd. Wreszcie gwizdek. Rauss — los. Przechodzimy do następnej hali.

Aufsejerka mówi coś do kapo, która po chwili staje uśmiechnięta pośrodku sali i oznajmia, że które z dziewcząt młodych, o bezwzględnie czystych — zdrowych ciałach zechcą, mogą się zgłosić do pufu. Zapisy przyjmuje aufsejerka zaraz. W krótkich cynicznych słowach zachwala, jakie korzyści materialne będą mieć w związku ze zmianą sytuacji. Od razu osiemnaście Niemek rzuca się z piskiem radości do stołu. Nasze, nie znające dostatecznie języka niemieckiego, informują się cichutko, o co chodzi. Dwie z tych osiemnastu ze śmiechem odrzucono. Za chude, za stare. Kapo fachowo ogląda ciała, klepie po piersiach i pośladkach. Blondynka stoi z nogą opartą o stołek i z uśmiechem zapisuje numery w notatniku.

Ktoś szeptem: — Wiesz ta kapo to była podobno Puf-mamą w Katowicach.

— Weiter — zwraca się do nas blondynka.

Milczymy.

— O, to nie jest towar odpowiedni — powiada kapo. — To polnisches dreck. Scheisse.

Wszystkie Niemki wybuchają śmiechem.

— O, Jezu, taka obraza boska, taka obraza i jo, córka gazdy, gaździanka — buntuje się znów Kasia.

— Singen! — Aufsejerka machnęła szpicrutą.

Pośrodku sali staje gruba, ubrana w czarny kitel kapo i nagle zaczyna śpiewać dobrym, szkolenym koloratutowym głosem jakąś niemiecką piosenkę kabaretową. Jestem szalenie zdziwiona. Nie

podejrzewałam, żeby ten kwadratowy pysk buldoga mógł wydać ze siebie taki głos. Wszystkie Niemki nagle zaczynają poruszać biodrami i po następnej zwrotce śpiewają refren. Na środek wybiegają ochotniczki do „pufu“ i zaczynają tańczyć jakiś cyniczny, bezwstydnny taniec. Wydaje mi się, że treść piosenki polega na zachwalaniu poszczególnych części ciała, bo wskazują je śpiewając. Aufsejkerka dostała aż rumieńców na twarzy, oczy jej błyszczą. SS-man w drzwiach śmieje się.

„Mama S“ zakryła oczy ręką. Teraz już wyraźnie słyszę, jak półgłosem odmawia „Kto się w opiekę odda Panu swemu... na lwa srogięgo bez obrazy siędziesz i na ogromnym smoku jeździć będziesz“.

Nagle z naszego grona wyrywa się stara, polska Cyganka. Chuda jak szkielet, czarna jak diabeł, ze strasznie sterczącymi kosmykami włosów, zaczyna w takt niemieckiej piosenki tańczyć kozaka. Niemki ogarnia szal radości. Śpiewają jeszcze głośniej i klaszczą w dłonie do taktu. Stara robi pryśiudy coraz prędzej, prędzej, skaczą do taktu tragicomiczne, obwisłe, straszne piersi. Wreszcie jak tańczący derwisz pada na ziemię. Jakiś sabat czarownic — myślę sobie — czy to sen, czy rzeczywistość? Spoglądam wokoło, ta i owa nawet się uśmiecha.

— Rauss, los, schnell!

Wychodzimy. I znów maszerujemy przez lagerstrasse do basenu. Tam jakimś kijami wyciągamy z niebieskiej cieczy nasze koce i ubrania. Mokre, ubrudzone w błocie rzeczy niesiemy do bloku. Dopiero na podwórku wolno nam je wyjąć

i rozwiesić, ale cóż, kiedy deszcz pada bez ustanku.

Następnego dnia była śliczna, słoneczna niedziela. Do południa wyschły prawie wszystkie rzeczy. Natychmiast po osuszeniu wszy ożyły.

Całe wolne popołudnie spędziłyśmy na pracowitym ich tępieniu.

Wieczorem tylko trzy z 40 stopniami gorączki poszły na tak zwany „rewir“. Jedną z nich była tańcząca kozaka Cyganka.

W kilka dni potem pokazały nam koleżanki, które nosiły trupy, jej nagie, chude, brązowe ciało.

Jako mała dziewczynka widziałam kiedyś szczeniaka złapanego w pułapkę. Nie wiem dlaczego grozą przejął mnie jego różowy nieowłosiony ogon. Potem tak się jakoś ułożyło życie, że nie miałam nigdy do czynienia z tym „domowym zwierzątkiem“ — aż dopiero w pewien majowy poranek w Oświęcimiu spotkaliśmy się znów.

Kazali nam uprzętnąć odpadki, cegły i kamienie, leżące obok baraków chorych, tzw. „rewirowych“.

Na świecie był maj, jak wyżej już wspomniałam, taki cudny „Królewicz maj“ z piosenki. Słonce. Niebo bez chmurki. Wysoko, wysoko na niebie trzepotał się i śpiewał skowronek. Inne ptaki nie przylatywały jakoś wcale nad nasz obóz. Tylko skowronki miały odwagę. Pewno dlatego, że tak wysoko fruwały. Zwykłego szarego wróbla nie widziałam tam ani razu.

Robota tego dnia wcale nie była ciężka. Blockführer stał oparty o barak i patrzył w inną stronę. Wszystkie „kapo“ pokrzykiwały jakoś niegroźnie i zerkały ciągle w stronę wózka z chlebem dla chorych, upatrując stosowną chwilę, żeby zwędzić bochenek. Rozejrzałam się w sytuacji i zaryzykowałam przejście z wyznaczonej mi placówki o kilka

metrów dalej. Może tam kogoś spotkam? Może się czegoś nowego dowiem?

Chwyciłam odpowiedni moment i z łopatą na ramieniu podeszłam do drzwi wejściowych bloku. Spojrzałam na ziemię i stanęłam jak wryta.

Dwie więźniarki z obsługi szpitalnej ściągały koszulę z trupa. Trup był potwornie chudy. Strasznie rozwarłe, szklane oczy patrzyły prosto w niebo. Dół twarzy był jedną potworną, wielką raną. Brzuch też. To był pierwszy trup, jakiego widziałam w Oświęcimiu.

— Co to? — spytałam. — Co jej było? Skąd takie rany?

— S z c z u r y — odpowiedziała spokojnie jedna z pielęgniarek. — Umarła wczoraj wieczorem. Leżała do rana, to ją napoczęły.

Ogarnęło mnie okropne jakieś przerażenie. Odwróciłam się i zaczęłam panicznie uciekać przed siebie. Wydało mi się, że rozkrzyżowane ręce umarłej wyciągają się po mnie.

— Halt! Was machst du hier?

Oprzytomniałam. Stała przede mną anwajzerka Kāti.

— Gdzie lecisz, stara krowo? Tu rób dalej porządek pod tą ścianą. Wszystko masz tu czysto oczyścić.

Wzięłam pokornie łopatę i zaczęłam porządkować wskazany teren. Nagle obok starej darni i kupki kamieni, pod samą ścianą baraku natrafiłam na jakieś wełniane gałgany, z którymi nie mogłam sobie dać rady, tak jakoś były zakopane w ziemi. Zaczęłam pracowicie tu i tam odkopywać i posłyszałam, że coś jakby zapiszczało.

Jeszcze jeden ruch łopaty i oczom moim ukazuje się okrągłe gniazdo wysłane watą i jakimiś wiórkami — pełne gołych, ślepych szczurków.

Ogarnął mnie jakiś szał. Zapragnęłam odwetu, zemsty za to okropne, okaleczone ciało ludzkie. Zaczęłam nagle łopatą zabijać jedne po drugich małe szczury. Uderzałam mocno, strasznie — przed oczami miałam jakąś czerwoną mgłę. Ostatni szczur zapiszczał pod uderzeniem łopaty.

Za moimi plecami stanęła znów dozorczyńni — Kāti i zapytała:

— Co robisz?

— Szczury — odpowiedziałam i pokazałam ręką moje pobojuwisko.

— O, das ist gut, sehr gut — weiter machen. — Odeszła.

Ręce mi drżały, czoło miałam zroszone potem. Oparta o skrwawioną łopatę spojrzałam w niebo. Było cudownie niebieskie, przezroczyste — a gdzieś daleko w lesie kwitły pewno i pachniały konwalie.

Oświęcim, maj 1943 r.

O własnych dzieciach mówiło się w obozie tylko w pierwszym okresie, kiedy się jeszcze nie znało dostatecznie tej „humanitarnej“ instytucji. Kiedy dom był czymś bliskim, realnym i niemal dotykalmym. Kiedy się miało wiarę i nadzieję, że się wróci do domu... do dzieci.

W czasie pracy czy odpoczynku w pierwszym okresie pobytu w Oświęcimiu słyszało się wokoło nieustanne rozmowy matek:

— Ile ma lat pani córeczka?

— Trzy i pół, blondyneczka, włoski się jej kręca, wie pani, i taka mądra. Jak mnie zabierali w nocy, to...

— Mój Rysio ma już teraz dziesiąty rok. Jak miał osiem, to już zbudował taki motorek i łódeczkę puszczal, która sama pływała.

— A ja troje zostawiłam — opowiadała pewna Czeszka dźwigając ciężkie kamienie. Chłopczyk pięć lat i dwie córki, jedna trzy lata, a druga sześć miesięcy.

— O Jezu! taki drobiazg?

— A no!

I tak w kółeczko. Wszystkie dzieci w opowiadaniach matek były śliczne, mądre i dobre. Wszystkie bez wyjątku. Już po kilku dniach my, matki, znałyśmy świetnie te wszystkie „swoje dzieci“. Wie-



działo się, która ma Halinkę, która Rysia, a która Marysię. Znało się na pamięć anegdutki o nich i co miesiąc wspólnie czekało na listy.

A tymczasem co dzień raniutko, kiedyśmy maszerowały z łopatami i tragami na robotę — spotykałyśmy kolumnę wynoszącą umarłe z rewiru. Długim, pojedynczym szeregiem niesiono na tragach ciała przyrzucone jakimś szczątkiem starego szarego koca. Tragi były przeważnie za krótkie, spod koca zwisały odkryte do połowy nogi, które poruszały się od ruchu idących. Z daleka miało się wrażenie, że biorą udział w tym ostatnim swoim marszu.

Nie można się było oprzeć, żeby nie liczyć, nie można sobie było nakazać, żeby nie patrzeć.

— Raz, dwa... piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści trzy...

— Ileś naliczyła?

— Zdaje się dziś czterdzieści, to jakoś niedużo.

— A ile będzie po południu?

— Rano przecież zawsze więcej.

Potem, zimą, kiedy epidemie wprost szalały i dzienna śmiertelność wynosiła przeciętnie 300 — czasem nawet więcej (okres Bożego Narodzenia 1943 r.), zwłoki leżały przed blokami, nagie, w śniegu i błocie i czekały na auta ciężarowe, które je zabierały do krematorium. Na lewo za barakami szpitalnymi był tor kolejowy i droga do krematoriów. Tam znów żywi, zdrowi ludzie, wysiadający z pociągów od razu maszerowali piątkami na śmierć.

I z każdym porankiem właściwie przychodziło się do wniosku, że prawdopodobieństwo przeżycia jest minimalne. Coraz mniej było między nami ma-

tek, które tak niedawno zachwycaly się swoimi dziećmi. I nagle, jakby na rozkaz, pewnego dnia przestało się mówić o dzieciach. Zdaje się, że to było akurat po śmierci Czeszki, a może się mylę? Po prostu wykreśliło się temat dzieci, zaczęło się mówić o snach, kabałach, wiadomościach politycznych i świetnych przepisach kuchennych.

Ale to wracało, musiało wracać choćby jeden raz w miesiącu, kiedy przychodziła poczta. Matki wilgotnymi od łez oczyma odczytywały wiadomości o dzieciach i dzieliły się z innymi matkami.

— Wiesz, Halinka zdaje już w tym roku do gimnazjum. Wierzyć mi się nie chce. Jak odchodziłam z domu, była jeszcze taka mała.

— Jurek miał katar, ale już dobrze. Patrz, dopisał się, już stawia nieźle literki.

Czasem wezwanej do biura matce pokazali na parę sekund fotografię dzieci, która nadeszła w liście. Wracała zalana łzami i opowiadała:

— Mówię wam, takie duże, ładne i dobrze nawet wyglądają.

Czasem w paczce przyszła schowana w cukrze czy innym pakunczku, niezauważonym przy rewizji, fotografia dziecka. Pamiętam kiedyś pokazała mi jedna matka taką właśnie fotografię z paczki, Bardzo brzydkie dzieciątko z odstającymi uszkami, mizerne i zezowate. W opowiadaniu matki mały był ślicznym cherubinkiem. Widocznie spostrzegła w moich oczach jakiś cień zdziwienia i prędko powiedziała:

— Patrz, jak mi go zmarnowali, włoski ostrzygli. Przez to widać, że ma brzydkie uszka. A oczko miał zawsze zezowate, tylko ci nie mówiłam o tym.

— Mizerny rzeczywistoście, ale bardzo miłutki —  
powiedziałam pocieszająco.

I tak raz po raz wracał problem dzieci. Po głównej ulicy, tzw. „Lagerstrasse“, biegła dziewczynka, blondynka z długimi warkoczykami, ubrana bardzo elegancko z czarną opaską na ramieniu, na której było napisane „Läuferin“ (goniec). Była słowacką Żydóweczką, całą jej rodzinę spalili. Ją uratowała jakaś SS-manka, bo się jej spodobała, że taka ładna i do Żydówki niepodobna. Biegała szybko z rozkazami roześmiana obok trąg z trupami, nie zważając na wiecznie dymiące kominy, gdzie ginęły dziennie tysiące ludzi. Często w lecie przebierała się dwa i trzy razy dziennie w nowe, czyste sukienki nie rozumiejąc pewnie, że je zdjęli lub wyjęli z walizek, spalonych przed chwilą rówieśniczek.

Mała z daleka w sylwetce przypominała do złudzenia moją córeczkę i zawsze na jej widok ścisnęło mi się serce. Co rano z niepokojem czekałam, czy aby mała „Läuferin“ przebiegnie przez Lagerstrasse, czy aby w nocy... Cóż? Łaska pańska na pstrym koniu jeździ... Ale takie wesołe, ładne dziecko to dobra reklama przy wstępie do obozu. Patrząc na takie dziecko biegające swobodnie po obozie nie podejrzewa się nic złego idąc do kąpieli, do krematorium. Mała do ostatniej chwili mego pobytu w Oświęcimiu żyła i „doskonale“ się jej powodziło. Poza tym przez jakiś czas na tzw. „bramie“ czyli na wartowni urzędował trzyletni przesłiczny Cyganek. Mała czekoladka. SS-manki go nosiły, chodził z misiem pluszowym i salutował wszystkim Niemcom przechodzącym przez bramę. Kariera małego Cyganiątka trwała zaledwie kilka tygodni.

Umarł. I jakoś zaraz potem sercem matek wstrząsnął widok bladych jak cienie, niebieskookich dzieci rosyjskich. Przyjechały z bardzo daleka. Wieziono je przeszło czterdzieści dni. Teraz blade, przerażone wyglądały przez okna baraku. Od czternastu lat do niemowląt kilkumiesięcznych. Najmłodszy „Häftling“ miał nie więcej jak cztery miesiące i trzymająca go na ręku matka pokazywała ze łzami jego maleńką spuchniętą rączkę ze świeżo wytatuowanym numerem. Ani jedna matka wracająca wtedy z pracy nie oparła się łzom. Stałyśmy tak naprzeciwko siebie oddzielone brudnymi szybami nędznych baraków i patrzyłyśmy sobie w oczy, a w sercach była jedna wspólna troska: strach o te blade, wątłe, ponumerowane dzieci.

Następnego dnia wyciągnęła się rączka głodnego dziecka po jakiś kawałek cukru czy sucharek.

Ile razy się zobaczyło smutne, maleńkie ciało leżące na tragach, ile razy się zobaczyło matki niosące na rękach lub prowadzące chore, ślaniające się dzieci do ambulansu — tyle razy spuszczało się głowę nisko i wracał ten dobrze znany wszystkim matkom ból. Czas mijał jednostajnie zdawałoby się, ale ciągle zdarzało się coś, co wstrząsało duszą człowieka do głębi, co budziło bunt i raniło najistotniejsze uczucia ludzkie.

Pewnego jesiennego dnia, kiedy już liczba rosyjskich dzieci pewnie zmniejszyła się do połowy, — gruchnęła po lagrze wiadomość, że rosyjskie dzieci wyjeżdżają. Matki zostają tu, dzieci jadą gdzieś do specjalnego obozu dziecięcego. Matki musiały osobiście odprowadzić dzieci do łaźni, wyką-

pać, a potem oddać do transportu. Lager wypełnił jakiś jeden jęk, szloch, zwierzęcy wprost skowyt. Matki z dziećmi uciekały, chowały się po klozetach, rowach, dziurach. Ale bardzo prędko znaleziono wszystkie i ustawiono przed łaźnią. I znów stałyśmy naprzeciw siebie, patrzące sobie w oczy i płaczące jednymi łzami matek.

Po kilku dniach jedna z rosyjskich matek, której odebrano i wywieziono troje dzieci, pokazała mi „gryps“ od swojej najstarszej dziesięcioletniej córki.

„Mamo, nie martw się, bądź dobrej myśli, nie płacz. Ja się będę opiekować Saszką i Tanią. Saszka w drodze wcale nie płakała. Nam tu zdaje się będzie nieźle. Ja już jestem duża dziewczynka, nie zapomnę nigdy Ciebie, Mamo, i Rosji. Potrafię wrócić do domu...“ Reszta słów była tak zatarta, że nie mogłam nic więcej odczytać na zmiętej, zatłuszczonej karteczce.

Dzieci istotnie odwieziono do dziecięcego obozu gdzieś w Poznańskie. Potwierdziły to oświęcimskie pielęgniarki, które odprowadziły wraz z eskortą transport i wróciły przywożąc ostatnie może pozdrowienia dla matek.

Po tej wiadomości nastąpiło pewne odprężenie i znów nowy wstrząs! Pewnej nocy zlikwidowano kilka tysięcy dzieci żydowskich, umieszczonych na tak zwanym „familijnym lagrze“.

Często widziałyśmy z daleka sylwetki kręcących się tam za drutami dzieci. Mówiono oficjalnie, że ten właśnie obóz „familijny“ jest przeznaczony na przetrwanie, że to ma być rodzaj pewnego „rezervatu“. Mieli zupełnie inne niż my prawa. Mieszkali

rodzinami, nie chodzili do przymusowych robót i mieli lepsze od nas wyżywienie.

Owego tragicznego dnia też wszystko było zupełnie zwyczajnie i normalnie. O godzinie piątej po południu dzieci dostały na kolację kaszkę na mleku z cukrem, a w kilka godzin później zaczęli je zabierać do krematorium. Od tego zresztą dnia rozpętała się orgia niszczenia. Z Czech, Węgier, Słowacji, Holandii, Belgii i Francji zwozili dzień i noc setki tysięcy Żydów i palili. Wszystkie krematoria działały, okazało się, że ilość pieców jest niedostateczna. Wobec tego kazali wykopać ogromne doły i tam na stosach płonęły podobno przeważnie dzieci. Widziałam wtedy setki dzieci wysiadające z pociągów i idące na śmierć. Teraz, kiedy to piszę, sama się sobie dziwię, że będąc matką kochającą nie tylko swoje dziecko, ale wszystkie dzieci na świecie — nie zwariowałam. Całymi dniami prześladowała mnie sylwetka jakiegoś widzianego przez druty ze śmiertelnego pochodu dziecka. To dziewczynka w zielonym paletku, to chłopczyk podrzucający przez cały czas piłkę, to jakieś różowo ubrane maleństwo na rękach matki.

Do końca życia nie zapomnę również pewnego wiosennego poranku niedzielnego. Wydało mi się, że nastąpiło jakieś odprężenie w egzekucjach. Transporty nie nadeszły i dymy jakby się trochę rozwiały. Stałam oparta na łopacie, wpatrzona w pustą dziś drogę śmierci.

— Boże, przecież może nie będą ich więcej już przywozić — pomyślałam i poczułam rzadki w Oświęcimiu moment ciszy w sercu. Nagle od strony krematoriów ukazała się kolumna wózków dziecię-

cych. Więźniarki dostały rozkaz przetransportowania pustych wózków na dworzec kolejowy. W pierwszej chwili zaczęłam liczyć piątki, ale prędko się zorientowałam, że ilość jest tak ogromna, że się nie doliczę.

Białe, kremowe, granatowe, zielone, większe i mniejsze wózki maszerowały przed moimi oczami, a w każdym przecież tak niedawno leżało żywe, zdrowe dzieciątko, przyszłość i szczęście rodziców! I patrząc na ten nie kończący się korowód przypomniałam sobie opowiadanie mojej przyjaciółki, żony pewnego lekarza, która przed samą wojną wróciła z wycieczki zagranicznej. Zwiedziła z mężem wszystkie europejskie znane ośrodki nowoczesnego wychowania niemowląt. Była zachwycona niemieckimi zakładami wychowawczymi. Opowiadała mi, jak kiedyś obserwowała właśnie w Niemczech w jakiejś podgórskiej miejscowości poranny spacer niemowląt.

— Setki wózków z czyściutko ubranymi niemowlętami jechało w góry na słońce.

Jakże inny był ten pochód, który ja widziałam! No cóż, te puste wózki też jechały pewno do jakiegoś nowoczesnego zakładu, dla dzieci „wybranej rasy“.

W tym okresie lekarzem naczelnym był dr Mengele, specjalista od selekcji. Poza tym miał ideę przeprowadzania jakichś medycznych doświadczeń nad bliźniakami. I znów zaroilo się w naszym obozie od dzieci. Z każdego transportu oddzielali bliźnięta i umieszczali na specjalnym bloku szpitalnym. Na terenie szpitala, gdzie właśnie pracowałam wtedy przy budowie brukowanej drogi, raz po raz

spotykałam śliczne, jak dwie krople wody podobne do siebie parki węgierskich dzieci. Biedne „króliki“ nie wiedziały oczywiście, ani nie rozumiały, co je czeka. Bawiły się i śpiewały bez troski. Po wyjeździe z Oświęcimia długo miałam przed oczami obraz pewnej dziecięcej zabawy i w uszach mi brzęczała jakaś dziecięca melodia, którą słyszałam w przeddzień wyjazdu.

Dziwnym zbiegiem okoliczności przy końcu stycznia 1945 r., będąc w obozie koncentracyjnym w Turyngii, widziałam ewakuację tego właśnie obozu dziecięcego, do którego wysłano wtedy „nasze dzieci“. Przypomniała mi się zmięta karteczka dzieiesięcioletniej dzielnej Wali. Patrzyłam na pociąg z góry i myślałam sentymentalnie: może ją poznam, może zobaczę?

Dzieci ewakuowano w odkrytych wagonach towarowych, źle oczywiście ubrane i głodne. Były w podróży już kilka dni. Na każdej stacji wyrzucano po kilkanaście trupów.

„Wybrany, kulturalny naród“ ratował dusze dziecięce przed „barbarzyńską zagładą ze wschodu“.



Pelasia miała 19 lat. Była średniego wzrostu, krępa, okrągła na twarzy i rumiana. Przy krótko ściętych włosach twarz jej wydawała się jeszcze bardziej okrągła — rumieniec miała w tonie liliowo-różowym — i nie wiem, czy kolor policzków, czy okrągłość twarzy powodowały, że przypominała mi cebulkę. Młodą, zdrową, trochę sinawą cebulkę. Pelasia była już półtora roku w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, przeszła tyfus, opuchlinę nóg i dużo innych chorób. Była na „komandzie“ w polu i dwa miesiące w SK (Strafkomando) za kradzież zupy. Prawie wszystkie dziewczęta, które razem z nią przyjechały transportem z okolic Stanisławowa, umarły. Pelasia żyła. Była zdrowa, wesoła i zaczęło się jej, jak sama mówiła, świetnie powodzić!

— Ale to dlatego, że się nauczyłam żyć — dodawała twardo.

Pelasia dostała funkcję — spodobała się blokowej i pfliegerce, jak leżała ostatni raz na rewirze, i zamiast ją wypisać na lager, znów do komanda w pole, postarały się dla niej o zajęcie stałe na bloku szpitalnym. Pelasia została pucerynką. Pucerynka — sprzątaczką — zdawałoby się, że zajęcie to powinno obejmować tylko funkcje sprzątania. Tymczasem w oświęcimskim szpitalu rzecz się przedstawiała zupełnie inaczej. Funkcja pucerynki

była bardzo odpowiedzialna i niejedno życie ludzkie od niej zależało. Lekarka badała chore, dawała dyspozycje pielęgniarce, pielęgniarka najczęściej tylko dawała lekarstwa (o ile były) i mierzyła temperaturę, natomiast całkowita opieka nad chorymi była na głowie pucerynki. Do niej należało przyniesienie wody dla chorych, mycie chorych, rozdanie zupy, podanie ciężko chorym basenu do łóżka, poprowadzenie łóżek chorych do kibla — no, poza tym sprzątanie, poprawianie łóżek itd. Słowem, bardzo dużo i bardzo odpowiedzialnej roboty.

Były pielęgniarki szczerze pracujące i oddające całe serce chorym, ale takich było niestety niewiele — a w tym wypadku cała robota była zwalona na Pelasię. Pelasia z początku nawet bardzo się starała. Gorliwie podawała co rano w małej miseczce trochę wody do mycia, podawała cierpliwie nocniki i biegła do kantyny po zupę, po sałatkę. W miarę jak zrozumiała, że się przyjęła, że blokowa i pflegerka są z niej zadowolone, że nikt jej w pole w złmie nie gna, zaczęła sobie lekceważyć robotę. Całymi godzinami siedziała na swoim poprzecznym łóżku i machając nogami filozofowała:

— Najważniejsza rzecz to przejść taki lager. Tu to już tak jest, nikt nie powinien się na nikogo oglądać, bo każdy jest sam. Jak sobie człowiek sam nie poradzi — to zginie.

Na dolnym łóżku leżała ciężko chora na tyfus z komplikacjami nerkowymi. Lekarka zapowiedziała Pelasi, że trzeba jej dawać koniecznie bardzo często pić, to ją może uratować. Pelasia uśmiechnęła się do lekarki przymilnie. Zapewniła, że naturalnie będzie o tym pamiętać, ale nie pamiętała, czy

nie chciała pamiętać. Chora nieprzytomna, z opuchniętą twarzą, jak ryba raz po raz łykała powietrze, czasem bełkotała coś niewyraźnie lub wyciągała przed siebie błagalnie ręce:

— Pelasiu, daj tej chorej na dole pić — prosiły sąsiadki z górnych łóżek — patrz, jak się męczy . . .

Pelasia siedziała na swojej poprzeczce, przerywała na chwilę nucenie jakiejś piosenki lub swój wywód filozoficzny, patrzyła zimno na chorą i odpowiadała:

— I po co jej woda? Niech pani patrzy — jej się już niewiele należy, po co się ma męczyć?

— Pelasiu, nie wolno tak mówić.

— E . . . tu każdy musi sam się starać. Półtora roku temu, jak mnie przywieźli, to też nikt nie pomógł, samam se rade dać musiała. Jak przeznaczone, żeby żyła, to będzie żyła, jak nie — to nie.

Niestety, obóz wyzwolił z niej wszystkie złe siły, jakie mogą być w człowieku.

Nie tylko była zimna i nieuczynna, ale także szalenie interesowna. Wystarczyło, żeby chora otrzymała paczkę, momentalnie Pelasia zmieniała swój stosunek do niej. Od razu przychodziła do łóżka, poprawiała zbite wióry w sienniku, proponowała, że ją umyje, że postara się o czystą nową koszulę albo że jej dostarczy surowych kartofli z kuchni i ugotuje wieczorem zupę. W rezultacie odchodziła obdarowana czymś z paczki, siedziała znów na swojej poprzeczce i po krótkim wywodzie, że jedzenie w lagrze, na równi z nieprzejmowaniem się, jest rzeczą najważniejszą — zjadała otrzymane datki. Kilka chorych, stale otrzymujących dobre paczki, opłacało Pelasię, która za to służyła im wiernie, by-

ła na każde skinienie — gotowa zaspokoić nawet najbardziej niedorzeczny kaprys.

I jeszcze jedno było bardzo przykre: o ile przychodziły paczki do ciężko chorych, Pelasia brała je pod swoją opiekę... Zamiast postarać się wymienić paczkę na jakiś zastrzyk, mleko czy czystą koszulę (handel wymienny niestety był bardzo rozpowszechniony), Pelasia powoli zjadała zawartość. Często cynicznie mówiła:

— Zjem te kiełbase, a ona nieprzytomna, pewno umrze. A jeżeli nie umrze, to i tak się zepsuje... — I zjadała.

Często nawet już po zgaszeniu światła na łóżku Pelasi słychać było szelest odwijanych papierów i miarowe mlaskanie. Pelasia się odżywiała. Czasem patrząc na nią myślałam, że nie do cebulki jest podobna jej twarz, że to spostrzeżenie było nieistotne i zupełnie nieodpowiednie. Była raczej podobna do miedzianego okrągłego pieniądza i jak pieniądz miała dwa oblicza. Orzeł i reszka. Dla władzy i „zamożnych“ była jednakowo uśmiechnięta, dla biednych i najbardziej potrzebujących — okrutna i zimna. Czemu się nikt nie zbuntował? Czemu się nie poskarżył? Mój Boże, to nie osiągnęłoby skutku, a poza tym tam się nikt nie buntował. Byłyśmy bardzo chore i bardzo bezsilne... Czasem, bardzo rzadko, na twarzy Pelasi przebijała się jakaś mgiełka uczucia, to było wtedy, kiedy zaczynała nucić swoje wiejskie piosenki. Ciągnęła długo w kółeczko jedną i tę samą melodię. Oczy jej nabierały jakiegoś smutku i łagodniały na chwilę. Ale wystarczyło, żeby ktoś zawołał: — Pelasia, wody, albo — Pelasiu, chodź tu na chwilę — twarz dziewczyny robiła

się zła, zacięta. Albo nie reagowała wcale na wołanie, albo schodziła ze swego łóżka ze słowami:

— A bodajżeście wyzdychały prędzej wszystkie, człowiek minuty dla siebie nie ma.

Próbowało się mówić, mówiło się o szczęściu, jakie może dać spełnienie samarytańskiego uczynku — śmiała się. Raz nawet któraś zaczęła mówić o Chrystusie, przypomniała jej przypowieść ewangeliczną i zasady wiary. Pelasia odpowiedziała na to pogardliwie, że...

Gdyby był Bóg naprawdę, to nie byłoby na ziemi takiego piekła, jak tu jest, nie pozwoliłyby cierpieć tak ludziom niewinnie. Na przykład za co ona siedzi? Za nic, nie zapisała się do arbeitsamtu, jak kazali, bo ona była jedna w domu, a matka ciągle słabowała — ona musiała pracować sama przy domu za matkę. — No i co? — Wójt ją oskarżył, przyszli w nocy, zabrali i tu przywieźli. — Niech mi pani tylko aby Bogiem głowy nie zawraca. Tyle matek kona tu daremnie, tam gdzieś zostają może dzieci — a Bóg to widzi i nic nie może poradzić... — Zacięła usta, wlaźła znów na swoje łóżko i zaczęła jeść.

Barak był podzielony na tak zwane w języku obozowym sztuby — czyli izby. Ale izb w dosłownym tego słowa znaczeniu nie było. Wzdłuż baraku stały słupy i przestrzeń między jednym słupem, a drugim — nazywała się sztubą. Na każdej sztubie pracowała jedna pucerynka.

Nie można powiedzieć, żeby pucerynki żyły w zgodzie. Podrzucały sobie wzajemnie śmiecie, zamieniały kubły, kradły świeżą wodę — jako że do wody było daleko i duże błoto, słowem, często wy-

buchały kłótnie, awantury i zgoda znów następowała natychmiast, gdy trzeba było coś „zorganizować” na lewo, zdobyć... lub zahandlować.

Pewnego razu pucerynka ze sztuby po przeciwnej stronie wyszła po wodę, czy po paczki... i bardzo długo jej nie było, a jakaś chora zaczęła krzyczeć o wodę... Prosiła, błagała... Widocznie żadna z chorych sąsiadek nie miała zapasu i nikt jej nie podał. Było to jakoś w porze poobiedniej — na bloku nie było ani lekarki, ani żadnej starszej pielęgniarki. Pelasia siedziała jak zawsze u siebie na łóżku, jadła piękne czerwone jabłko i niewzruszenie przysłuchiwała się błaganiom i jękom chorej.

— Pelasiu, mam wodę, zanieś tej chorej, już nie można słuchać dłużej.

— Nie moja sztuba, nie moja chora. Nie dam.

— Pelasiu, masz tu moją kawę, zanieś, nie można pozwolić, żeby się ktoś tak męczył.

— Nie moja sztuba, nie moja chora. — Zosia wróci, to da. Morde by mi sprąła, że się mieszam do jej chorych.

Krzyk chorej przeszedł w rżenie, w końcu ucichła...

Wróciła pucerynka Zosia i zaraz sąsiadki zaczęły alarmować i opowiadać, że ta stara kobieta, co ją wczoraj przynieśli, pewno kona, że trzeba szukać lekarki albo pfliegerki... Zosia nachyliła się nad chorą, wzięła za głowę, za rękę, machnęła ręką na znak, że już koniec i poszła szukać lekarki. Po kilku minutach wróciła z lekarką, która stwierdziła zgon.

— Trzeba trupa zaraz wynieść przed blok, łóżka są bardzo potrzebne — powiedziała lekarka. Rozejrzała się po bloku i zawołała:

— Halo! Pelasia, chodź no tu, musisz pomóc wynieść zmarłą.

Pelasia ze wściekłością zlała ze swojej poprzeczki, przeszła przez niski ciągnący się wzdłuż bloku piec i podeszła do umarłej. Nagle blokiem wstrząsnął nieludzki ryk! Pelasia się rzuciła na umarłą i zaczęła strasznie, jakoś zwierzęco wyć. Nikt w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Wreszcie powoli lekarce udało się oderwać Pelasię od umarłej.

— Mamo! Mamusiu jedyna! — wyła bez przerwy i rzucała się do umarłej.

Trup już leżał na noszach i podtrzymywana przez Zosię głowa — o otwartych oczach — zdawała się spoglądać na wyjąca z bólu dziewczynę.

Na bloku panowała śmiertelna cisza, przerywana jedynie skowytem dziewczyny. W końcu chore zaczęły szeptać:

— Może to pomyłka, skądże matka? Dlaczego o tym nie wiedziała, że ma tu matkę...?

— A skąd mogła wiedzieć, że matkę przywieźli...? Ona tu siedzi całe dnie, a matka pewnie przyjechała niedawno i była na kwarantannie.

— Pewno, spójrzcie, jaką ma świeżo ogoloną głowę.

Nowe „pensjonarki“ przychodziły na nasz blok zwykle po apelu wieczornym. Ich przyjście na tzw. SK (Strafkolonnie) było przeważnie związane z jakimś przewinieniem na terenie lagru. Prawie zawsze delikwentka przychodziła po przebyciu pierwszej doraźnej kary, to znaczy z popodbijanymi oczyma i w ogóle śladami bogatych środków pedagogicznych, jakimi rozporządzały nasze władze z Tauberem, tak zwanym „dentystą“ na czele.

Wchodziły na blok, siadały na pierwszym lepszym miejscu i zaczynały szlochać. Wtedy my (o ile to nie była Niemka) zbliżaliśmy się do niej i zaczynałyśmy pocieszać. Po paru minutach „nowa“ uspokajała się i zaczynała pytać: — Czy rzeczywiście jest tu tak strasznie? Czy rzeczywiście praca jest tu tak ciężka? Ile dają zupy i czy to prawda, że się stąd już nigdy nie wychodzi?

Ta przyszła w pewien piękny lipcowy wieczór. Nie płakała, nie widać było nawet na jej twarzy przerażenia. Spokojna, opanowana, podeszła do blokowej i zapytała, gdzie będzie jej miejsce do spania. Wyprostowana, z wysoko podniesioną głową szła przez blok i zajęła wskazane jej miejsce. Była nieprzeciętnie ładna. Wysoka, o bardzo regularnych rysach twarzy i dużych, niebieskich oczach w czarnej oprawie. Byłyśmy wszystkie zdziwione,



że nie płacze i o nic nie pyta. Jej samotność trwała zaledwie parę minut. Kilka Ukrainek i Polek podeszło do niej i zaczęło indagować.

— Ruska?

— Tak.

— Skąd?

— Z Woroszyłowgradu.

— Dawno wzięli?

Poruszyła się niespokojnie, zmarszczyła proste, czarne brwi i odpowiedziała:

— Mnie się zdaje, że już bardzo dawno.

— A za co?

— Jak to za co — Ruska.

— A tu za co, do nas?

— Nie wiem, pobili i wsadzili.

Jakimś dumnym gestem podniosła głowę do góry i zamilkła.

— A znak? Jaki masz znak na plecach? To po tym się poznaje, za co kara.

Ania siedząca z nią na koi spojrzała na jej plecy. Koło czerwone na białym. — To znaczy, że ty albo ciężko polityczna, albo chciałaś uciekać. — Milczała nie zmieniając wyrazu twarzy. Ciekawe koleżanki rozeszły się.

Przez kilka następnych dni obserwowałam ją w czasie pracy. Była zawsze jednakowo milcząca, dumnie wyprostowana, poruszała się sennie i leniwie.

Zapragnęłam czegoś się o niej dowiedzieć. Przy pierwszej sposobności spytałam:

— Jak ci na imię?

— Zina.

— A gdzie pracowałaś?

Spojrzała na mnie jak zbudzona ze snu.

— No, czym byłaś w domu? Jaka specjalność?

— Jeszcze nie pracowałam. Uczylałam się w Wuzie.

— Ach tak, a ile masz lat?

— Dwadzieścia trzy.

Wyglądała na więcej.

Powoli wyrobiło się wśród nas przekonanie, że Zina jest tajemnicza, że miała na pewno jakąś bardzo ciekawą sprawę polityczną.

Któręś dnia w czasie pracy posłyszałam o kilkanaście kroków ode mnie hałas. „Blockführer“, „aufsejerka“ i kilka Niemek tak zwanych „kapo“ biło którąś.

— Kogo tam biją i za co? — spytałam.

— To Zinę — Rosjankę. Herta na nią naskarżyła, że nosi za mało kamieni w tragach.

Krzyki ucichły. Grupka się rozeszła. Zina stała ocierając rękawem krew ciekącą z nosa.

Ten dzień był dniem tragicznym w obozowej historii Ziny. Nasi dozorczy zdecydowali, że Zina jest duża, młoda i silna, więc powinna ciężko pracować. Zaczęli jej dawać najcięższe kamienie do dźwigania. Kazali pchać najcięższe taczki i bili przy tym niemiłosiernie powtarzając z ironią, że „kto nie pracuje, ten nie je“. Zina znosiła to z ponurym spokojem, nie płakała, nie osłaniała nawet instynktownie twarzy rękami, co jeszcze bardziej podniecało oprawców.

Pewnego dnia przyszła na pracę, stanęła i oświadczyła, że nie będzie więcej pracować. Nowa porcja razów nie pomogła. Po przyjsciu na blok nie ustawiła się w kolejce po obiad, tylko usiadła z boku.

Ktoś chciał jej ofiarować swoje pół porcji — odmówiła. Kolacji też nie odebrała. Zaczęłyśmy się poważnie niepokoić. Jedzenie jest w obozie tak ważną rzeczą. Poprosiłam jej rówieśnice Ukrainki i Rosjanki, żeby z nią pomówiły. Przecież szkoda takiej ciekawej i ładnej dziewczynki. Sama też z nią mówiłam.

— Musisz przetrwać, musisz żyć — tłumaczyłam — musisz wrócić do kraju. Wiesz, słyszałam, że Czerwona Armia idzie ciągle naprzód, niedługo nas uwolnią.

Podniosła głowę, spojrzała na mnie uważnie i powiedziała:

— Za co, za co mnie tak biją? Przecież ja taki sam człowiek jak i oni.

Nie słuchała nikogo i nie reagowała na żadne perswazje. Jedynie miała niesłychany sentyment do pani Szybińskiej, warszawianki, tak zwanej na bloku „Mamy“. Mama zaczęła dla niej odbierać chleb i zupę u blokowej. Od niej przyjmowała jedzenie. Zdarzało się, że w nocy podchodziła do koi, gdzie spała staruszka, budziła ją i mówiła: — Zina głodna, daj chleba. — Staruszka zaczęła się nią opiekować ze wzruszającą troskliwością, na robocie też nie zapominała o niej. O ile tylko się dało, ciągnęła ją do sterty kamieni, które trzeba było przebierać:

— No, wybieraj, wybieraj, Zina, to przecież najlżejsza praca — mówiła pół po polsku, pół po rosyjsku.

Zina rzuciła kilka kamieni i znów swymi ślicznymi, niebieskimi oczyma wpatrywała się w przestrzeń.

— No, pracuj, pracuj, kochanie, bo przyjdzie „Blockführer“ albo Herta i znów będą bić.

Wzdrygnęła się.

— Za co? Za co mnie tak biją? Ja przecież jestem człowiekiem.

— No tak — próbowała tłumaczyć „Mama“. — Tu, dziecko, obóz koncentracyjny, my tu musimy pracować wszystkie, inaczej będzie z nami źle.

— A to niech zabijają, niech raz będzie koniec.

A potem powiedziała cichutko:

— Jeslibyśmy wszystkie powiedziały, że nie będziemy pracować dla nich i że nie chcemy ich jedzenia... to... co?

— Niech Bóg broni, moje dziecko, niech Bóg zachowa. Co za pomysły. To by nas rozstrzelali wszystkie. To bunt, nie myśl nawet o tym.

— A to niechby rozstrzelali. Czy to jest życie?

Staruszka spuściła głowę, westchnęła i coś pomruczała. Zina z kamieniem w ręku patrzyła w niebo.

Z dnia na dzień bardziej mizerniała, bardziej zaczynała się w sobie i coraz bardziej zdradzała objawy melancholii. Pewnego dnia rano spostrzegłam zdziwiona, że Zina zawzięcie kopie. Ucieszona podeszłam do niej. Właśnie łopatą wygładzała coś w rodzaju podłużnego klombu.

— Co ty robisz, Zino?

— To mój grób — odpowiedziała z dziwnym uśmiechem.

— Zino, nie myśl tak, wrócisz, musisz przetrwać, już niedługo — naprawdę.

Pokręciła przecząco głową. Usiadła obok w kucy i tak przesiedziała pół dnia wpatrzona w ziemię nie reagując na krzyki i szturchańce.

Nadchodziła jesień, przenikliwie zimne poranki i wieczory. Zina słała się pomiędzy nami jak milczący cień.

Któregoś dnia przy wieczornym apelu położyła się na ziemi i nie chciała wstać. „Blockführer“ wziął ją ze sobą. Wszystkie mówiły, że na gaz do krematorium, ale to była nieprawda.

Widziałam ją jeszcze w wigilię Bożego Narodzenia. Siedziała wysoko na łóżku, naga, w klatce dla wariatów i czekała spokojnie na śmierć.

Oświęcim 1943.

Drogi! Piszę do Ciebie list, który oczywiście nigdy do Ciebie nie dojdzie. Właściwie to beznadziejne takie pisanie w przestrzeń. A jednak muszę. Zdobylam z wielkim trudem ołówek, kilka względnie nieuszkodzonych papierów, w których przyszły paczki i postanowiłam dzień dzisiejszy spędzić na pisaniu listu do Ciebie. Listu, który nigdy nie dojdzie. . .

Widzisz, taki dzień, takie postanowienie — to wielki luksus w moim obecnym życiu. To nawet niebezpieczny luksus. To, że myślę nieustannie, to, że budzę się i zasypiam z Twoim imieniem na ustach, to, że w ogóle żyję, że się trzymam jeszcze jako tako fizycznie, zawdzięczam sile mojej miłości do Ciebie. Ale nigdy — przez tyle lat — nie odważyłam się napisać do Ciebie. Dopiero dziś po raz pierwszy. A wiesz dlaczego? Bo podobno na świecie jest wiosna. Nawet na pewno jest! Leżę na najwyższym łóżku w szpitalu oświęcimskim i przez wąziutkie okienko widzę bardzo ograniczone pole widzenia. (Byłeś tam kiedy za jedne 20 gr?). W moim skrawku, który mam przed oczami, widzę druty, za drutami nasyp kolejowy, na którym rośnie zielona trawa i koła zajeżdżających i odjeżdżających pociągów — poza tym. . . nie, o tym opowiem Ci na końcu, a może wcale nie opowiem.

Trawa na nasypie kolejowym jest jasna, cudnie zielona — ktoś powiedział, że jest 15 kwietnia i że na dworze jest słońce. Nie widzę go, ale czuję. Czuję tak silnie i zieloność ma tak nieodparty, intensywny czar, że postanowiłam napisać do Ciebie...

Osaczyły mnie pod wpływem tej wiosny — wspomnienia. Gdzieś daleko kwitną sady, białe płatki opadają na ziemię. Przypomina mi się dzień, kiedy razem pojechaliśmy z Lublina do Jastkowa. Pamiętasz? Jechaliśmy wśród kwitnących drzew. Nigdy nie zapomnę tej ciszy, jaka była w nas obojgu, i tej ciszy, jaka była na jastkowskim cmentarzu. Pamiętam, że w powrotnej drodze opowiadałam mi o Twojej pierwszej bitwie i nagle przypomniała mi się moja pierwsza najdawniejsza wiosna, jaką w życiu pamiętam. Tamto wspomnienie ukłuło mnie w serce, wrócił na sekundę jakiś schowany głęboko uraz psychiczny. Chciałam Ci to opowiedzieć, ale pomyślałam sobie: to może zepsuć nastój. Zresztą po co akurat dziś o tym mówić? Przecież opowiem mu to kiedyś. Zdażę. Przecież teraz już wiemy oboje, że się nie rozstaniemy nigdy. Kiedyś opowiem mu o mojej pierwszej wiosnie w życiu...

Tymczasem nie zdażyłam. Rozdzielił nas los, jesteśmy oddzieleni od siebie przestrzeniami tak ogromnymi — może nawet oceanami? Nie wiem. Nie wiem, czy kiedyś jeszcze się spotkamy. Boję się napisać, ale kto wie, czy to nie jest moja ostatnia w życiu wiosna? Nie, nie chcę i nie będę krakać nad sobą. Nie wolno. Po prostu opowiem Ci o mojej pierwszej, najdawniejszej wiosnie...

Na końcu maleńkiego miasteczka stał w ogródku domek parterowy z werandą. Ostatni domek w miasteczku: kiedy się spojrzało w lewo, widać było łąki pokryte żółtym kaczeńcem i drogę wysadzaną wierzbami. Przed domem był duży okrągły klomb, na środku rosła czerwona sztamowa róża, która była przywiązana do wysokiego palika, zakończonego dużą kolorową szklaną kulą. Kula była wspaniała, wydawała mi się ogromna i prześlizczona. Nikt w całym miasteczku nie miał takiej. Czasem bose i brudne dzieci żydowskie przychodziły przed nasz dom. Stawały rzędem przy płocie. Cicho coś do siebie mówiły, pokazywały rękami na kulę i kiwały głowami. Patrzyłam z daleka na żydowskie dzieci. Zazdrościłam im, że chodzą bose, że mogą nogami miesić błoto i razem się bawić. Nie miałam brata, byłam jedynaczką. Ciągłe na coś tam chorowałam, rodzice pieścili mnie bardzo — a ja już wtedy ciągle za czymś tęskniłam. Pamiętam doskonale, że co dzień podchodziłam do furtki, stawiałam na poprzecznej listwie i wyglądałam na drogę wysadzaną drzewami. Zdawało mi się, że stamtąd przybędzie jakieś szczęście, jakaś bajka...

Tego dnia musiał być śliczny dzień wiosenny, bo od tej chwili pamiętam zieloność soczystą wiosennej trawy — i kwiat konwalii. Pamiętam, że matka zrywając konwalie powiedziała mi: „Patrz, to konwalie — zapamiętaj tę nazwę“. Powtórzyłam: „konwalie“ i zapamiętałam, że mają małe dzwoneczki.

Wtem rozległ się turkot nadjeżdżającego pojazdu, trząsk z bata i przed naszym domem zatrzymał się powóz. Przyjechał w odwiedzinę mój dziadek. Dziadek był bardzo wysoki, miał duży haczykowaty



nos i duże wąsy. Bałam się go, bo mówił bardzo głośno i wąsami kłuł mnie przy pocałunku w policzek. Dziadek to żadna atrakcja, ale konie — śliczne, gniade — to zajmująca rzecz. Ale co to? — na koźle siedzi dziwnie, czarodziejsko ubrany ktoś, kto trzyma lejce.

Dziadek wita się z matką i ze mną i wskazując na siedzącego na koźle mężczyznę, powiada:

— Patrzcie, jakąm liberię sprawił Jędrzejowi. Ładny krakowiak, co?

Wiesz, wtedy była moda przebierania furmanów w krakowski strój, nie wiem dlaczego.

Krakowiak zaczarował mnie, urzekł moje czteroletnie serce. Kierozja, wyszycia, kółeczka brzęczące i złote u pasa, czapka z pawimi piórami — wszystko to zachwyciło mnie. Wyśliznęłam się z objąć wysokiego kościstego dziadka i boczną furtką poszłam na podwórko. Na podwórku była stajnia i kurnik. Tam właśnie zajechał Jędrzej i zaczął wyprzęgać konie. Długo pewnie musiałam stać z boku pod ścianą, zanim mnie zauważył. Spojrzał, uśmiechnął się, poprawił czapkę z pawimi piórami i zagadnął:

— No, chodź no tu, maluśka panienko.

Podeszłam. Konie już jadły siano w stajni. Jędrzej już siedział na jakimś pniaku przed drzwiami i zaczął ze mną rozmawiać. Odpowiedziałam mu na wszystkie pytania: ile mam lat, jak się nazywam, czy lubię konie i czy mi się podoba ten krakowski strój. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo. Tymczasem na niebieskim przezroczystym niebie ukazało się stado białych gołębi. Jędrzej zerwał się, zaczął dziwnie gwizdać, machać czapką — i gołębie zaczęły koło-

wać coraz bliżej nad jego głową. Musiał to być jakiś bardzo piękny widok, bo pamiętam ten moment tak dokładnie, jakbym przed chwilą widziała kłiszę fotograficzną.

— Lubisz gołębie, maluśka?

— Lubię.

— No to ja ci przywiezę dwa gołębie.

— Żywe?

— Żywe, będziesz se chowała, chcesz?

— Bardzo chcę.

— A no!

Na progu domu u wejścia do drzwi kuchennych ukazała się matka. W ręku miała tackę, na której stał kieliszek wódki, a obok leżał gruby kawał chleba z kielbasą. Zobaczyła mnie.

— Co ty tu robisz? W tej chwili idź do ogrodu, tu brudno.

— A tak se tu gwarzymy z panienką maluśką. Za zdrowie pani i maluśkiej — rzekł Jędrzej odbierając z rąk matki poczęstunek.

Skrzywił się po wypiciu, otrząsnął i obtarł usta ręką. Strasznie mi się podobał.

Matka wzięła mnie na ręce i zanosła do domu.

Nikomiu nie powiedziałam, że mi Jędrzej obiecał przywieźć dwa gołębie. Nikomu. Czekałam długo na Jędrzeja. Konwalie już przestały kwitnąć, matka obsadzała czymś okrągły klomb, mówiła, że to flance. Na drzewach nie było już kwiatów, tylko duże zielone liście. Wtedy przyjechał Jędrzej.

Jeszcze siedząc przed domem na koźle, dawał mi z daleka ręką znaki i pokazywał na jakiś koczyczek, który stał u niego w nogach. Prędiutko przywitałam się z dziadkiem i uciekłam tą samą

furtką na podwórko. Jędrzej uśmiechał się z daleka, pokazywał koszyczek, ale nie dawał, tylko tak jak wtedy wyprzęgał najpierw konie. W końcu wziął z powozu zakryty koszyczek i kiwnęła na mnie ręką. Podeszłam. Otworzył wieko — na dnie na sianie siedziały przytulone do siebie dwa gołębie.

— No, masz. Pawiki. Bardzo oswojone.

Wziął jednego ptaka do ręki, rozwiązał związane nóżki, posadził go sobie na dłoni i gwizdnął. Gołąb frunął i zaczął kołować nad naszymi głowami.

— To samiec, widzisz: zielonkowaty. A to samiczka, więcej siwa — powiedział rozwiązując jej nóżki.

Po chwili oba gołębie kołowały nad nami. Ale nie tylko kołowały: na gwizd Jędrzeja siadały mu na ramionach, na głowie, jadły z ręki groch. Jeden usiadł mi też na ramieniu. Byłam bardzo szczęśliwa. Wtem otworzyły się drzwi i tak samo jak wtedy wyszła matka z tacą w ręku.

— Co to?

— Gołębie, żywe, oswojone i moje własne.

— Skąd?

— Jędrzej przywiózł dla mnie.

Jędrzej jakoś wstydliwie się uśmiechnął, a matka spojrzała surowo na mnie, na Jędrzeja i gołębie, i spytała:

— A ile Jędrzej chce za nie?

— Jak to?

— No ile chcecie za te gołębie? Przecież tak za darmo nie możemy przyjąć.

Jędrzej się zaperzył i poczerwieniał na twarzy.

— O, to, proszę wielmożnej pani, dla dziecka gościnniec przywiozłem. Grosza nie wezmę. Swego

chowu parka, oswojona, będzie się miała czym bawić maluśka.

Matka poszła, pokręciła głową, wzięła tacę od Jędrzeja i jeszcze odchodząc powiedziała:

— My stanowczo nie możemy tak wziąć za darmo. Tymczasem dziękuję.

W kuchni dostałam dużo grochu i do południa bawiłam się z Jędrzejem gołębiami.

W czasie obiadu matka opowiedziała ojcu i dziadkowi o prezencie Jędrzeja — obaj bardzo się dziwili, że mógł taki pomysł przyjść do głowy chłopu.

— To po prostu nie do wiary — powiedział dziadek — żaden chłop nie zrobi nic za darmo. Pewno się z kimś pobił, albo coś takiego i chce mieć protekcję u sędziego.

Ojciec rzucił się jak oparzony:

— Naturalnie, naturalnie! Że też mi to od razu do głowy nie przyszło! Moja droga, stanowczo daj mu za nie rubla. A jak nie przyjmie, niech zabiera z powrotem do domu.

Podczas całej tej rozmowy było mi bardzo, bardzo przykro, a teraz miałam oczy pełne łez. Matka to spostrzegła i powiedziała coś po francusku do ojca. Przestali mówić o gołębiami. Nie mogłam jeść, jakiś strach, że je mogę utracić, ścisnął mi gardło.

Zaraz po obiedzie uciekłam na podwórze do gołębi i do Jędrzeja. Okazało się, że przez ten czas Jędrzej zrobił prymitywny gołębnik na strychu stajni i teraz właśnie zaczął gołębie wabić, uczyć je, że to ma być ich nowy dom.

Było już dobrze po obiedzie, miało się ku zachodowi, kiedy matka znów przyszła na podwórko.

Znów miała w ręku sakramentalną tacę z poczęstunkiem dla Jędrzeja, ale tym razem obok chleba leżał srebrny rubel. Matka poczęstowała Jędrzeja. Wypił chętnie. Skrzywił się, splunął i jak zwykle powiedział:

— Za zdrowie wielmożnej pani i córeczki.

Wtedy matka powiedziała, że stanowczo Jędrzej musi wziąć pieniądze. Za darmo przyjąć gołębi nie może. Jędrzej jeszcze raz powiedział, że przywiózł prezent dla dziecka i że za żadne skarby świata nie przyjmie pieniędzy.

— A no, to w takim razie proszę zabrać gołębie — powiedziała matka ostro.

A Jędrzej poprawił czapkę na głowie i gwizdnął na gołębie, które natychmiast przyfrunęły do niego. W ciągu kilku następnych sekund stała się rzecz straszna. Jędrzej złapał za nóżki oba ptaki, położył na pniu od rąbania drzewa, przy którym leżała stale siekiera i uciął jednym uderzeniem obu ptakom główki. Rzucił drgające okrwawione ptaki pod moje nogi i powiedział:

— Niemiła księdzu ofiara, pójdź ciele do obory.

Krzyknęłam strasznie. Matka porwała mnie na ręce i uniosła do domu. Wieczorem miałam gorączkę i bez ustanku ukazywały mi się okropnie okaleczone, drgające kolorowe gołębie. (Podobno wtedy byłam bliska zapalenia mózgu). Potem przez wiele lat mego dzieciństwa, ile razy widziałam taką zieloną szmaragdową trawę, to na jej tle zwidywały mi się moje okaleczone, dogorywające gołębie.

I dziś też... też mi się pokazały, poniżej setek nóg, które widzę przez swoje okienko. Bo widzisz, nie napisałam Ci jeszcze, że na te tory zajeżdżają

pociągi. Kilkanaście pociągów dziennie. Wsiadają z nich ludzie, których wcale z mego pola widzenia nie mogę zobaczyć — widzę tylko ich nogi — i wiem, że ci ludzie wszyscy idą na śmierć. Leżę godzinami i patrzę na męskie, kobiece i dziecięce nogi — duże, małe, ładnie i źle obute — i te wszystkie nogi maszerują do krematorium.

Na świecie jest słońce, jest wiosna, jest miłość, jest wolność, a jednocześnie dzieją się takie okropne rzeczy, które ludzie ludziom wyrządzają. Dlaczego?

Leżę, patrzę godzinami na skrawek zielonej trawy, na coraz to nowe nogi ludzi idących na śmierć, i jestem tak samo bezsilna, jak byłam wtedy, kiedy miałam cztery lata. Teraz jest jeszcze gorzej: wtedy mogłam krzyczeć, teraz i tego mi nie wolno.

Wybacz, mój drogi, jedyny przyjacielu, że mój pierwszy po tylu latach list do Ciebie jest taki smutny. Jesteś poetą — rzucam Ci wyzwanie: wyczuj, że pisałam do Ciebie dziś taki list, odpowiedz mi na niego jakimś wierszem. Ja chcę, muszę wierzyć, że „jest miłość i ona zwycięży“. Jakże w tej chwili pragnę mieć przy sobie Twoje wiersze... Nie mam wierszy, nie mam wiadomości, nie mam nawet chwilami nadziei... Trawa, nogi, druty. Kilka zniszczonych papierów, na których piszę. Czy może być inny w tych warunkach mój list?

Dziwna to była orkiestra. Składała się z kilkunastu kobiet, ubranych zawsze jednakowo: w granatowe plisowane spódniczki i białe bluzki z krótkimi rękawami albo w granatowe sukienki w białe kropki. Gdyby ktoś zrobił fotografię grającej grupy i umieścił w piśmie ilustrowanym, to śmiało można by ją opatrzyć napisem: „Orkiestra damska przygrywa codziennie licznie zebranych gościom“... itd. W skład instrumentów wchodziło dużo mandolin, kilka skrzypiec, wiolonczela, bęben i, zdaje się, saksofon, ale słuchowo dominowały w niej mandoliny i głuchy dźwięk bębna. Mandoliny przez swoje drżące tony łagodziły i jakby ośmieszały całą orkiestrę. Za to bęben był groźny, dojmujący. Jego głuche tony, chociaż zupełnie inne w rytmie, przypominały chwilę, kiedy w cyrku wysoko na drucie cyrkowiec ma wykonać salto mortale, a bęben oznajmia, że za moment stanie się coś ważnego, strasznego. Na dźwięk tych tonów zawsze widzom przebiega dreszcz po plecach.

Salto mortale, które mieli wykonać „cyrkowcy“ w takt tego bębna, było też całkiem specjalne. Areną olbrzymiego cyrku, większego niż wszystkie cyrki Nerona, był obóz koncentracyjny Oświęcim, a linoskoczkami, maszerującymi piątkami co dzień

o świecie, były tysiące kobiet różnych narodowości, ras, klas i wieku.

Szły wyprostowane, sztywne, uważnie wpatrzony przed siebie, starannie stawiając lewą nogę w takt bębna i komendy: „Links, links, links und links“, którą niestrudzenie powtarzały gorliwe forarbeiterki. Niby maszerowało się po ziemi zwyczajnie, a jednak nie był to zwyczajny marsz, to było c. dzienne, wielkie, zbiorowe salto mortale. Każda szła właściwie jak po drucie. Jedna chwila nieuwagi, słabości, lęku czy załamania się psychicznego, a linoskoczek spadał na dół i ginął.

Po przejściu bramy, gdy już nie było słychać głuchych tonów bębna i drżących mandolin, następowało chwilowe jakby odprężenie psychiczne: udało się szczęśliwie przejść przez bramę!... Stojąca przy otwartym szarobieżowym aucie, plakatowo piękna komendantka obozu, „Aufseherin“ Mandel nie podbiegła, nie uderzyła w twarz ani w głowę swoją piękną w skórkowej rękawiczce rączką. Aufseherin Dreschler, przezwana „kostusią“, patrząca na nogi i guziki, nie zauważyła dziś nic godnego kopniaka. Postrach obozu Taube, z ręką założoną po napoleońsku na piersiach, nie wyciągnął z zanadru błyskawicznym ruchem gumy i nie uderzył nikogo.

Słońce wschodzi różowo, a właściwie malinowo, pola są srebrne od rosy. Po lewej stronie na horyzoncie zarysowują się wierzchołki gór. Góry są szaroniebieskie, na najwyższym szczycie widać śnieg, który w tej chwili jest różowy. Stanowczo następuje odprężenie. Udało się! Dzień się zaczął szczęśliwie. Pierwsze ćwiczenia na drucie wykonane dobrze. Serce się przez chwilę cieszy, pragnie



wyskoczyć z klatki i powiedzieć swojemu właścicielowi, jak cyrkowiec: „voilà!“.

Teraz trzeba uważać, bardzo uważać: drugi numer programu dziennego — wytrwać do obiadu, do godziny dwunastej. Trzeba pracować mądrze, żeby się zbytnio nie przemęczyć. Trzeba oszczędzać siły tak, żeby tego nikt z dozorujących nie zauważył, trzeba uważać, żeby się nie wysunąć z szeregu, nie oddalić się, za to można dostać pałką lub narazić się na zęby psa. (A pies był na pozór całkiem zwyczajny: miał poczciwą mordę i można go było z początku uważać za normalne domowe zwierzę.)

Między godziną dwunastą a dwunastą i pół śmiertelnie znużone członki odpoczywają, a głodny żołądek syci się piekącą gęstą papą. Słońce pali dotkliwie, całe szczęście, że nie pada deszcz. Pszczoły brzęczą w przydrożnych kwiatach, a obłoczki są białe jak kwaśne mleko. Ktoś mówi, że wkrótce będzie deszcz, dlatego że obłoczki są właśnie takie białe i że dziś wyraźnie widać góry. Ktoś mówi, że woli deszcz, ma ciężko chore serce i zupełnie nie może pracować w słońcu. Przestaje mówić na chwilkę i kładzie rękę na sercu. W oczach pojawia się pytanie: ile jeszcze takich słonecznych dni może wytrzymać ten coraz gorzej pracujący motorek? Któraś mówi, że woli słońce, bo ma reumatyzm w nogach i okropnie cierpi, jak musi pracować w deszczowe dni w polu. Powoli rozmowy cichną, całą grupę ogarnia nieprzeparta chęć ciszy i zupełnego odpoczynku, ale właśnie w tej chwili rozlega się ostry gwizdek i zaraz po nim pada rozkaz: „Aufstehen!“ Pies dyszący z gorąca podnosi się pierwszy i szczekaniem powtarza rozkaz.

Udało się dziś szczęśliwie do południa, teraz trzeba wytrwać do wieczora. Zasada ta sama co przed południem. Potem długi, męczący marsz do obozu. W tym marszu nie należy myśleć o tym, jak bardzo bolą nogi i krzyż, i ręce, bo jeszcze trzeba będzie stać około dwóch godzin na apelu. Lepiej myśleć, że znów mija jeden dzień. Jeszcze jeden zwycięski dzień! Jeden dzień bliżej wolności, a może bliżej śmierci...

Tymczasem z daleka słychać już grającą przy bramie orkiestrę. Mandoliny i skrzypce cieszą się, uśmiechają, brzęczą jak polne owady, a bęben znów grozi i straszy: uważaj, uważaj, uważaj, links, links, links und links.

Schylone głowy podnoszą się, całe ciało się wypręża, wyrównane w pośpiechu piątki wkraczają w bramę. I znów piękna, groźna „Aufseherin“ Mandel stoi przy swoim aucie i zło, tak samo jak rano biegające oczy SS-manów i SS-manek ślizgają się po szeregach. Uda się przejść szczęśliwie, czy nie...?

Małej, wątłej dziewczynce, maszerującej w samym środku grupy, nie udało się.

Zerwała w polu kilkanaście białoróżowych stokrotek, przypięła sobie do piersi i zapomniała schować albo wyrzucić przed bramą. Wyciągają ją z szeregów, zdzierają polne kwiaty, depczą je i biją dziewczynę. Reszta maszeruje niewzruszenie. A orkiestra gra...

Dziewczyna z okrwawioną twarzą kłęczy przy drodze i w podniesionych wysoko rękach trzyma dwa ciężkie kamienie. Po stokrotkach nie ma już śladu, zginęły zdeptane setkami nóg, a mała kłę-

cząca dziewczynka spadła z trapezu. Upadek nie jest śmiertelny, ale groźny. Pewno jutro pójdzie na SK (Strafkolonne).

Z początku orkiestra grała tylko dwa razy dziennie: rano i wieczorem. Czasem w niedzielę przed obiadem. Ale w miarę, jak coraz więcej przychodziło pociągów z transportami węgierskich Żydów do krematoriów, władze postanowiły urządzać dwa razy w tygodniu koncerty na terenie szpitala, niby dla chorych. W tym celu kazano nam zrobić specjalny plac dla orkiestry. W środku był duży kwadratowy klomb, obłożony darnią, a na klombie miejsce dla orkiestry, wyłożone płaskimi kamykami. Na kamykach kazali wymalować wapnem harfę. W rogach klombu zasadzone były kwiaty, ale nie wiadomo dlaczego nie chciały rosnąć — zwiędły, chociaż były troskliwie podlewane. Wokoło placu było jeszcze bardzo dużo roboty: trzeba było układać z płaskich, równych kamieni szeroką drogę. Droga nie była gotowa i dzięki temu znalazłam się na koncercie.

Kłęczałam na ziemi i układałam mozolnie kamienie. Orkiestra przyszła na plac. Ustawiły pulpity, rozłożyły nuty i składane stołeczki. Wysoka wiotka kobieta stanęła przed nimi i podniosła do góry pałeczkę. Na początek zagrały jakiegoś sentymentalnego walca. Ze wszystkich okolicznych bloków zaczęły przychodzić chore. Niektóre wychodziły, niektóre wypełzały, okryte szarymi kocami, z ogolonymi głowami, żółtymi, zapadłymi policzkami. Kilka miało ręce na temblaku, niektóre — bandaż na głowach. Prawie wszystkie były tak osła-

bione, że nie mogły stać, więc siadały lub kucaly na ziemi.

Janeczkę, była pielęgniarkę, która teraz dogorywała na gruźlicę, wyniosły koleżanki na noszach i położyły w cieniu. Ze wszystkich stron napływało coraz więcej szaro-nagiej publiczności. Jaskrawo świecące słońce bezlitośnie ukazywało nędzę chorych. Szaroziemiste twarze kontrastowały z rumianymi twarzami koleżanek z orkiestry.

... Skończyła grać walca. Zerwały się gorące, długie oklaski, oczy chorych błyszczały wdzięcznością.

Dyrygentka stuknęła pałeczką o pulpit, podniosła w górę ręce. Zagrały „Pieśń Solweigi“ Griega. Tęsknotą drgające tony pochyliły głowy słuchaczek. Potem był duet: zaśpiewały jakąś wesołą niemiecką piosenkę operetkową. Dziwnie brzmiała ta melodia a właściwie kabaretowy sposób jej wykonania. Wśród tych szarych cieni ludzkich zapomniałam o układaniu kamieni, zaśłuchałam się. Poczulałam nagle, że ktoś pochyla się nade mną. Zdrętwiałam ze strachu: to dozoruający SS-man, przewany przez nas „białą szyjką“. Myślałam, że mnie uderzy, ale nie. Pochylił się tylko i powiedział po niemiecku: „Ty musisz pracować, nie wolno ci słuchać muzyki, koncert nie jest dla was, tylko dla chorych. Zrozumiano?“ Kiwnęłam głową i zaczęłam prędko, gorliwie układać kamienie. Postać chwilę przy mnie i odszedł. Upewniwszy się kątem lewego oka, że jest daleko i nie patrzy na mnie, znów zaśłuchałam się. Och, jakże dziwnie w tej orkiestrze brzmiały niektóre melodie...

Na tory przeprowadzone tuż za drutami zajechał nowy pociąg. Zaczęli z niego wysiadać ludzie. Orkiestra grała jakąś uwodzającą, sentymentalną melodię. W grupie ustawionych przed pociągiem ludzi ktoś zaczął wesoło machać w naszą stronę ręką...

Pomyślałam sobie patrząc na ciężkie, nisko ścielące się dymy krematorium: — Może to szczęście dla nich, że pójdą na śmierć w takt muzyki, nie podejrzewający, że czeka ich za chwilę straszna śmierć w gazie...? — Odeszli, została po nich góra rzeczy i pakunków.

A orkiestra grała ciągle niestrudzenie coraz to nowe rzeczy... I jakoś tak się stało, że moje myśli poleciały do Ciebie, zaczęły cię szukać rozpaczliwie, w różnych krajach, w różnych miastach i okolicznościach i nagle zobaczyłam Cię — uśmiechniętego wesoło na werandzie jakiejś wielkiej kawiarni w dalekim, nieznanym mieście. Obok Ciebie siedziała młoda, ładna kobieta, piłyście chłodzące napoje w wysokich kielichach. Otaczał Cię tłum spokojnych wolnych ludzi... i w głębi orkiestra grała tę samą melodię co tu, i świeciło to samo słońce. Wizja trwała kilka sekund. Uśmiechnęłam się i pomyślałam: — Jakżebym chciała, żeby to była prawda! — Bądź szczęśliwy, wesoły — żyj swobodnie. Wystarczy, że ja tu — układam kamienną drogę.

## WSPOMNIENIE O ZOFII PRAUSSOWEJ

W końcu kwietnia 1944 r. rozeszła się po kobiecym obozie Oświęcim—Birkenau wiadomość, że przyjechał z Majdanka duży transport więźniarek Polek. Transport został zatrzymany na Brzezinkach (obok krematorium) i nie wpuszczony na teren naszego obozu. Bardzo nas ta wiadomość zgnębiła. Dotychczas wszystkie transporty aryjskie były prawie natychmiast po załatwieniu formalności przyjmowane na lager. Oczywiście zaraz rozeszły się po całym obozie złowróżbne plotki, że transport nie został wpuszczony dlatego, że jest przeznaczony na spalenie i czekają tylko na pozwolenie zlikwidowania z Berlina. Na szczęście plotki okazały się nieprawdziwe i po kilku dniach do naszego obozu wmaszerowały „majdaniarki“. Byłam wtedy w szpitalu na rekonwalescencji po tyfusie plamistym i biegunce, dzięki temu od razu skontaktowałam się z nowoprzybyłymi. Dowiedziałam się, iż przyjechały wszystkie chore, stare i słabe oraz personel lekarski i pielęgniarki.

Nowoprzybyłe pielęgniarki stały wśród nas uśmiechnięte i cierpliwie dawały odpowiedzi na setki pytań. Okazało się, że to są przeważnie „pawianki“ z Warszawy — więc znów pytania i nazwiska.

Wychyliłam się z łóżka i spytałam:

— A czy przypadkiem nie przyjechała z wami Zofia Praussowa?

— Owszem przyjechała. Już jest umieszczona na rewirze, na bloku siedemnastym.

Na Pawiaku poznałam i byłam w jednej celi z jej córką — Jadwigą Jędrzejewską, której serca, pomocy i poświęcenia się dla koleżanek więziennych nie zapomni do końca życia chyba żadna, która się z nią zetknęła. Wiedziałam od niej, że matka jej jest w Majdanku, i wiedziałam, jak Jadzia bardzo niepokoiła się o jej zdrowie i samopoczucie. Postanowiłam jak najprędzej skontaktować się z towarzyszką Praussową. W Oświęcimiu byłam już drugi rok, miałam z domu paczki, znałam różne obozowe sposoby zdobywania i ułatwiania sobie drobiazgów niezbędnych w tym nędznym życiu obozowym. Pomyslałam sobie, że mogę się na coś przydać staruszce. Posłałam krótki gryps, w którym napisałam, że jestem żoną Władysława Broniewskiego, którego ona zna osobiście i że chcę jej w miarę możliwości pomagać i że spotkałam na Pawiaku — Jadwigę. Wysłałam paczkę z chlebem białym, cukrem, papierosami itd. Po kilku godzinach na jakimś bardzo zmiętym szarym papierze dostałam odpowiedź, nabazgraną zdaje się opaloną zapałką, że pragnie koniecznie poznać mnie osobiście i to jak najprędzej. Prośba zdaje się prosta, ale dość trudna do wykonania. Chore nie miały w łózkach ubrań — leżały więc w koszulach, ubrania wierzchnie zabierano nam przy wejściu do szpitalnego baraku. Biegać z baraku do baraku w koszuli nie wolno było, no, i w ogóle... Ale na wszystko musi się znaleźć rada w obozie. Moje sąsiadki miały ukryte w siennikach cywilne

sukienki kupione za paczki od dziewcząt z effektenkammer i pożyczyły mi jakąś bluzkę i spódniczkę. Teraz trzeba było trochę sprytu, żeby po apelu wieczornym przemknąć się niepostrzeżenie z bloku i dostać się na siedemnastkę.

Prędko przemknęłam się między barakami i niezauważona przez obsługę siedemnastki dostałam się do wnętrza bloku. Tu nowa trudność, nie znam osobiście towarzyszek Praussowej, nie wiem, na którym łóżku leży. Trzeba się pytać. Mogą zauważyć obcą i wyrzucić. Ale jakoś i tu udaje mi się szczęśliwie — któraś pokazuje mi, że właśnie tam, na pierwszym piętrze — ta siwa starsza pani — to Praussowa. Stoję chwilę obok niej i nie mogę się zdecydować, co powiedzieć, jak przerwać jej milczenie. Siedzi na łóżku i patrzy ogromnymi, ciemnymi oczami gdzieś przed siebie — widać, że oczy te przebiły ściany baraku i druty... Wreszcie po dłuższej chwili decyduję się, podchodzę blisko, wspinam się na palce i mówię:

— Dobry wieczór. Pani chciała mnie poznać. Jestem.

Nieruchome oczy zapalają się nagle żywym, młodzieńczym blaskiem. Wyciąga do mnie obie ręce, przytula moją głowę do siebie i szeptem do ucha:

— Najpierw mi powiedz, czy wierzysz w Wiosnę Ludów?

Ogarnia mnie zdumienie i niewypowiedziane wzruszenie...

— Wierzę — mówię przez łyżę.

— Wierzysz w zwycięstwo rewolucji światowej i w pogięcie zupełne faszyzmu?

— Wierzę — powtarzam jak przysięgę.



— Bardzo się cieszę, że cię poznałam, moje dziecko — mówi jeszcze. — Na pewno umiesz jakieś wiersze Władka. Musisz mi powiedzieć, tak mi tego bardzo trzeba teraz.

Mówimy szeptem, prędko, do ucha, wszystko... O Jadwidze, o Pawiaku, prędiutko mówię jej do ucha te wiersze Władysława, które umiem na pamięć. Słucha ich ze łzami w oczach. Zaczyna mi prędko opowiadać o swoim jakimś ostatnim przemówieniu na wiecu w dniu 1 maja. Wspomina demonstracje z okresu 1905 roku. Walkę, jaką staczał wtedy proletariat. Oczy jej błyszczą — zapomina, że ma 72 lata, jest w niej żar i entuzjazm młodej dziewczyny.

Nieubłagane minuty mkną szybko naprzód, muszą uciekać do swego baraku. Jakże strasznie szkoda się rozstawać! Czujemy obie, że zawarłyśmy w tych kilku minutach wielką przyjaźń. Ściska mi rękę na pożegnanie i nakazuje:

— A trzymaj się mocno, dziecko. My tych drani przetrzymamy. Niedługie ich już panowanie!

Wychodzę przed barak, ogarnia mnie majowe cudowne powietrze. Nie widzę drutów, nie widzę płomieni krematorium — słyszę nad swoją głową szum czerwonych sztandarów, jak wspaniałe, zwycięskie trzepocą na wietrze. Nie widzę wokoło mnie pasiastych ubrań więziennych, widzę pochód wolnych szczęśliwych ludzi. Czuję się jak pijana. I wierzę, niezłomie wierzę w zwycięstwo rewolucji.



Zofia Praussowa zmarła w dniu, w którym Czerwona Armia wkraczała do opuszczonego przez Niemców obozu. Nie wiem, czy umierając wiedziała, że wolność już tak blisko... A może wiedziała i zmęczone serce nie wytrzymało tak wielkiej dawki szczęścia.

---

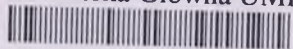
67917



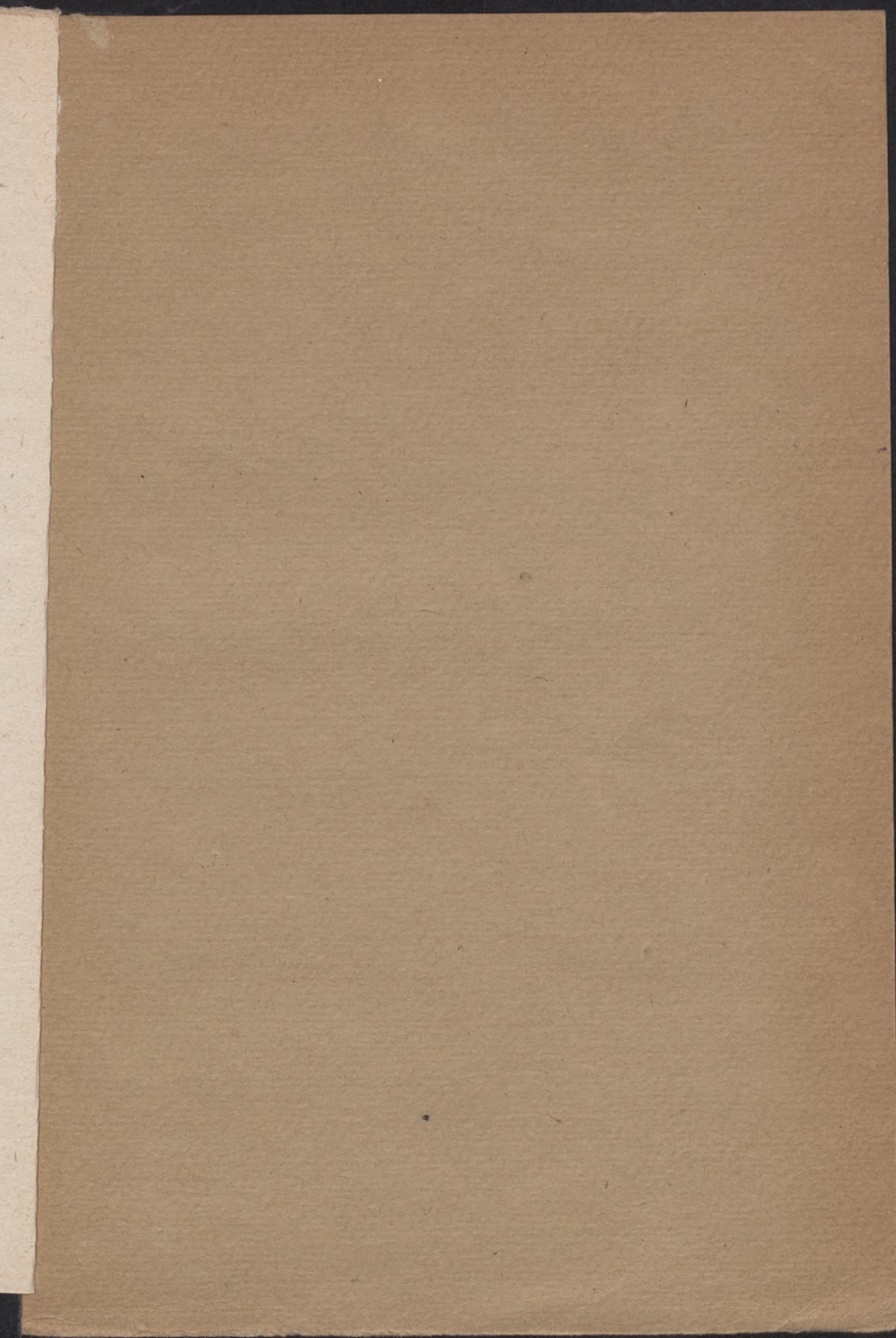
## SPIS TREŚCI

	str.
Wspomnienie przyjaciela . . . . .	5
Potop . . . . .	11
Entlausung — odwzienie . . . . .	16
Szczury . . . . .	25
Dzieci za drutami . . . . .	28
Pelasia . . . . .	37
Zina . . . . .	44
Gołębie . . . . .	50
Koncert . . . . .	59
Wspomnienie o Zofii Praussowej . . . . .	66

Biblioteka Główna UMK



**300020501947**



67917

